

W NUMERZE: Narodowy Spis Powszechny ■ Niedźwiedzia usługa ■ Wiersze Maksima Tanka ■ Tajny detektyw ■ Ogłoszenie w sprawie dwóch do rozbiórki domu ■ Politechnika – gospodarce ■ Magazyn kulturalny

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

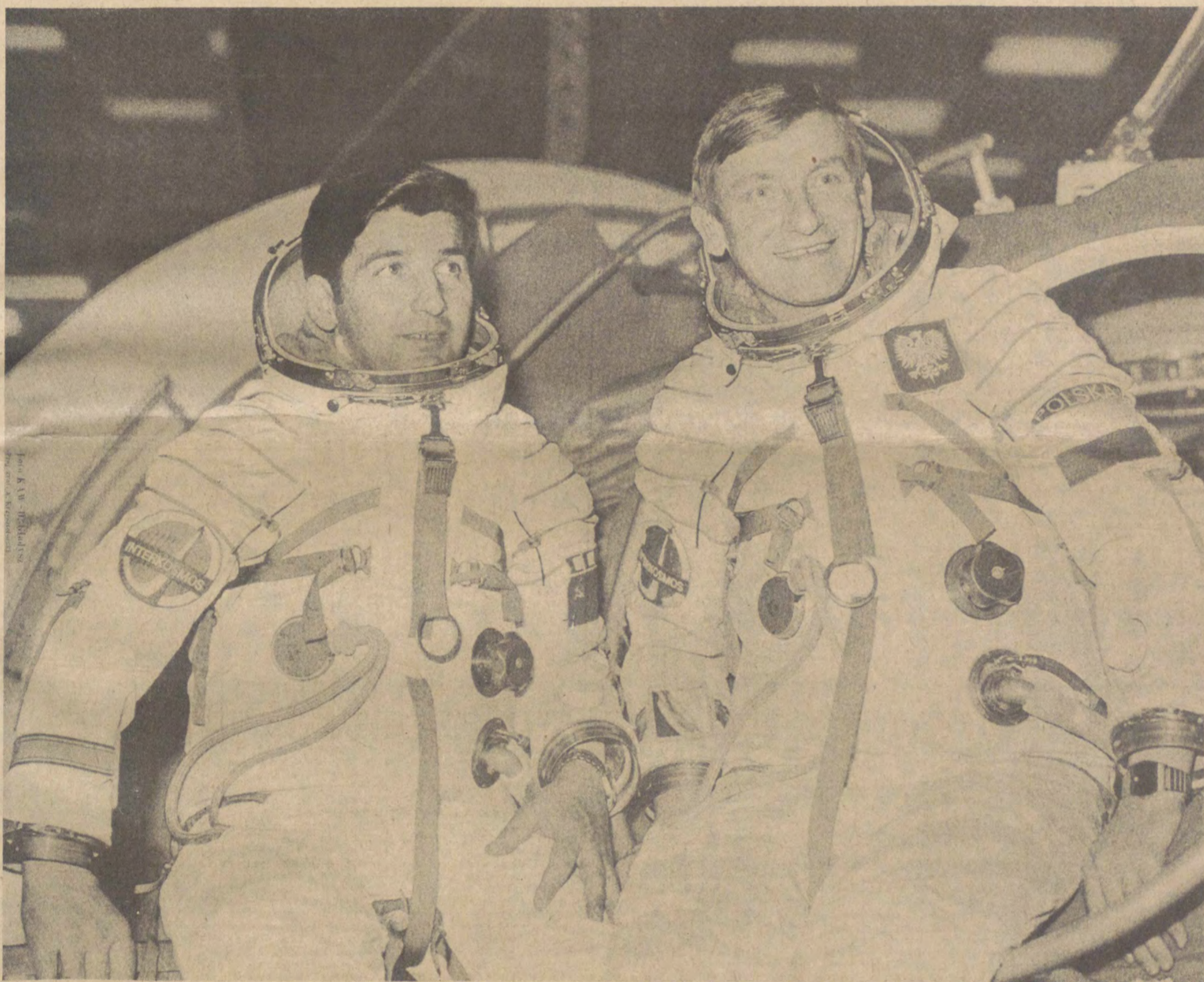
Kódź



NR 29 (1075) ROK XXI

16 LIPCA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## KOSMOS-1978

Są dwa powody, dla których nie należałoby dokonywać oceny tego, co wydarzyło się w badaniach Kosmosu w 1978 roku. Po pierwsze – rok ten jeszcze się nie skończył, a po drugie – proces poznawania Kosmosu trwa nadal. Ale są też dwa inne powody, dla których można pokusić się o spojrzenie na wydarzenia kosmiczne pierwszej połowy 1978 roku.

Po pierwsze – w procesie poznawania Kosmosu zaszły pewne zmiany jakościowe. Powstała możliwość długotrwałego przebywania na stacji kosmicznej „Salut – 6”. A możliwość tę ogranicza jedynie troska o kosmonautów, którzy nie mogą jeszcze – z różnych powodów – bardzo długo przebywać w przestrzeni kosmicznej. Istnieje natomiast możliwość systematycznego wymienia z załogą i uzupełniania zapasów stacji „Salut – 6” przez statek transportowy „Progress”.

Po drugie – do badań nad Kosmosem przystąpili też kosmonauci państw socjalistycznych: kosmonauta CSRS – Władimir Remek i kosmonauta

PRL – mjr Mirosław Hermaszewski.

A więc teraz możemy spokojnie przyrzeć się temu

### co wydarzyło się w Kosmosie w 1978 roku.

W telewizji mówi się z takiej okazji: – przeżyjmy to jeszcze raz. My możemy tylko oferować rejestr wydarzeń kosmicznych 1978 roku. Przypomnijmy więc, że 29 września 1977 roku z kosmodromu Bajkonur wystrzelono w ZSRR stację orbitalną „Salut – 6”.

Przypomnę tu tylko, o czym już niedawno pisałem, że stacja orbitalna „Salut – 6” ma dwa węzły cumownicze, dzięki cze-

mu mogą do niej jednocześnie cumować dwa statki kosmiczne. Mogą to być statki kosmiczne przywożące do stacji załogę lub obok statku kosmicznego, który przywiózł załogę może przycumować statek transportowy „Progress”. Słowo „obok” jest tu użyte w przenośni, gdyż statki cumują do „Saluta – 6” po jego przeciwnych stronach.

Podstawowa załoga „Saluta – 6” na ten okres zadań: J. Romanienko i G. Greczko wystartowała na „Sojuz – 26” 10 grudnia 1977 roku.

Po tych przypomnieniach możemy przejść do kalendarza wydarzeń kosmicznych 1978 roku:

– 10 stycznia – z kosmodro-

mu Bajkonur startuje „Sojuz – 27”, na pokładzie którego leca w Kosmos W. Dzenibekow i O. Makarow. Ich statek cumuje do „Saluta – 6” a oni wchodzi na pokład stacji orbitalnej; biorą udział w badaniach naukowych tam prowadzonych i wracają na Ziemię „Sojuzem – 26”. Wracają 16 stycznia. Ten manewr z zamianą statków kosmicznych pozwala przypuszczać, że J. Romanienko i G. Greczko pozostaną dłużej w Kosmosie.

Dalszy ciąg na str. 2

# KOSMOS-1978

Dalszy ciąg ze str. 1

— 22 stycznia — z kosmodromu Bajkonur startuje pierwszy statek towarowy „Progress — 1”. Cumuje on automatycznie do „Saluta — 6”, a obaj kosmonauci przenoszą z jego pokładu ładunek wagi około 2 ton. Są to materiały żywnościowe, paliwo, którymi uzupełniali się zapasy stacji orbitalnej.

Oba te wydarzenia, jak już wspominałem, stanowią nową jakość w procesie poznawania Kosmosu. Umożliwiają bowiem długi pobyt w Kosmosie stacji orbitalnej i wymaganie załogi na niej. „Progress” nie jest jednak statkiem wielokrotnego użytku. Po spełnieniu swojej misji odlatuje się do „Saluta — 6” i wchodząc w gęste warstwy atmosfery Ziemi spala się. Należy sądzić, że konstruktorzy radzieccy pracują nad zbudowaniem transportowca kosmicznego, który wielokrotnie mógłby polecieć w Kosmos i wrócić na Ziemię. Nad takim projektem kosmicznych pracują również konstruktorzy amerykańscy. Prom kosmiczny znajduje się w fazie prób i nie może być sprawdzony praktycznie, podczas gdy transportowca statki kosmiczne „Progress” spełniają już konkretne zadania.

Wróćmy jednak do dalszych wydarzeń kosmicznych 1978 roku:

— 2 marca — startuje „Sojuz — 28”. Na jego pokładzie znajduje się obok radzieckiego kosmonauty A. Gubariewa kosmonauta CSRS — V. Bemek. „Sojuz — 28” cumuje do „Saluta — 6”, a obaj kosmonauci biorą udział w pracach badawczych na stacji orbitalnej. Na Ziemię wracają 10 marca.

— 16 marca — wraca na Ziemię „Sojuz — 27” a na jego pokładzie dwaj radzieccy kosmonauci, którzy przebywali w przestrzeni kosmicznej 96 dob. „Salut — 6” pracuje teraz automatycznie i czeka na nową załogę.

— 15 czerwca — startuje z Bajkonuru „Sojuz — 29” a na jego pokładzie nowa podstawowa załoga stacji orbitalnej: Władimir Kowalonek i Aleksander Iwanzenkow.

— 17 czerwca — połączenie statku kosmicznego „Sojuz — 29” ze stacją orbitalną „Salut — 6”.

— 27 czerwca — z Bajkonuru startuje „Sojuz — 30”, a na jego pokładzie pierwszy polski kosmonauta — mjr Mirosław Hermaszewski oraz kosmonauta radziecki — Piotr Klimuk.

— 28 czerwca — „Sojuz — 30” cumuje do zespołu kosmicznego „Sojuz-29” — „Salut-6”.

— 5 lipca — „Sojuz — 30” z Piotrem Klimukiem i Mirosławem Hermaszewskim lądują na Ziemi.

— 7 lipca — z Bajkonuru wystrzelony został statek transportowy „Progress — 2”.

— 9 lipca — statek transportowy „Progress — 2” przycumował do zespołu orbitalnego „Sojuz-29” — „Salut-6”. Rozpoczęło się wyładowywanie ładunków i poczynki.

Tym razem scenariusz wykorzystania stacji orbitalnej jest trochę inny. Przypominam tu, że załoga „Sojuz — 27” powróciła na Ziemię na statku pierwszej pary kosmonautów, podczas gdy P. Klimuk i M. Hermaszewski wrócili na swoich, czyli na „Sojuzie — 30”.

Być może W. Kowalonek i A. Iwanzenkow nie będą tak długo na orbicie jak byli ich poprzednicy, być może zmienią inną załogę. Fakt bowiem przycumowania statku transportowego „Progress — 2” dowodzi, że zamierza się nadal wykorzystywać stację kosmiczną „Salut — 6”.

Przypomnijmy może teraz jak

## program naukowy

dla kosmonautów pierwszej zmiany, czyli dla załogi podstawowej: W. Kowalonek i A. Iwanzenkowa oraz ich „gości”: P. Klimuka i M. Hermaszewskiego. Pisałem niedawno o polskich programach badawczych. Przypomnę je w skrócie: w programie SYRENY chodziło o wytworzenie w warunkach nieważkości półprzewodnika trójskładowego z rtęci, kadmu i telluru, w programie SMAK badano zmiany smaku w warunkach nieważkości, w programie RELAKS — skuteczność przygotowanych form odpoczynku i rozrywki dla załogi stacji orbitalnej, w programie KARDIOLIDER chodziło o badanie działania serca przy wysiłku podejmowanym w czasie lotu kosmicznego, w progra-

mie ZDROWIE — o badania zdrowia kosmonauty podczas lotu i po lądowaniu. Ale to nie był cały program badawczy dla kosmonautów.

Poza tym kosmonauci prowadzili inne badania opracowane przez radzieckich uczonych i uczonych z krajów socjalistycznych. I tak prowadzono badania w ramach programów:

— TEST — badania mające stwierdzić wpływ długiego pobytu człowieka w Kosmosie. Kosmonauci prowadzą dzienniki, w których oceniają swoje zachowanie w pięciostopniowej skali. Chodzi tu między innymi o ocenę postępowania, myślenia, pamięci, koordynację wzrokowo-ruchową, szybkość zaspiania i budzenia się, apetyt, a także o obserwację zmian w wyglądzie partnerów.

— CIEPŁO — badania wymiany ciepła w warunkach nieważkości, gdzie nie ma naturalnych (jak na Ziemi) ruchów powietrza, a musza one być powodowane sztucznie. Chodzi więc o poznanie warunków chłodzących sztucznej atmosfery stacji, kiedy nie funkcjonują samoregulujące procesy organizmu ludzkiego.

— ZIEMIA — fotografowanie powierzchni Ziemi jednocześnie ze stacji orbitalnej i samolotów oraz porównywanie tych zdjęć dla celów rolnictwa, rybołówstwa, ochrony środowiska i geologii.

— ZORZA — obserwacje zórz polarnych.

— CZAJKA — badanie kosmitemu neutralizującego wpływ nieważkości na układ kostny i krwionośny człowieka. W stanie nieważkości inaczej pracują mięśnie, inaczej zachowuje się układ kostny, inaczej krąży krew. Specjalnie konstruowany kosmitem wywołuje podciśnienie w dolnych częściach ciała kosmonauty, dzięki czemu zwiększa się ich ukrwienie oraz powstaje pionowe obciążenie układu kostnego i mięśniowego.

— TLEN — badania przemian tlenu w organizmie człowieka przebywającego w warunkach nieważkości. Amatorom powieści fantastyczno-naukowych wydaje się, że głównym celem prowadzonych badań jest przygotowanie wypraw kosmicznych do najbliższych planet Układu Słonecznego, a później i dalej. A przecież poznawanie Kosmosu, zdobywanie umiejętności przebywania w Kosmosie ma przede wszystkim

## wielkie znaczenie dla Ziemi.

Kosmonauci — jak już wspominałem — prowadzili i będą prowadzili nadal badania według programu ZIEMIA. Jakże to może mieć dla nas znaczenie?

Wystawała już nowa dziedzina wiedzy — teledetekcja, a polega ona na obserwacji obiektów i zjawisk zachodzących na powierzchni Ziemi lub

pod powierzchnią. Informacje zbierane przez satelity, załogę stacji orbitalnej, samoloty czy balony wyposażone w aparaturę badawczą są poddawane przetwarzaniu, analizie i interpretacji przez komputery, a następnie wykorzystywane przez specjalistów różnych dziedzin gospodarki i nauki.

Co można ustalić tą drogą? Można określić strukturę zasiewów i upraw, stan zdrowia roślin uprawnych. Można prognozować na podstawie badań teledetekcyjnych wielkość plonów już we wczesnym okresie wegetacji roślin uprawnych. Można też określić zapasy wilgoci na polach uprawnych. Znaczenie tego rodzaju ustaleń jest chyba dla rolnictwa oczywiste.

W wyniku badań teledetekcyjnych można też ustalić stan lasów na ogromnych przestrzeniach. Takich badań nie można przeprowadzić z powierzchni Ziemi. A mają one dla gospodarki leśnej ogromne znaczenie.

Przy pomocy badań teledetekcyjnych ustala się też stan zanieczyszczeń wód powierzchniowych. I tu znów nie trzeba nikogo przekonywać o użyteczności takich badań.

I wreszcie sprawa geologii. Teledetekcja pomaga w ustalaniu zasobów surowcowych, odkrywaniu złóż mineralnych, ustalaniu zasobów energetycznych i wodonnych. Pozwala obserwować dokonywanie się zmian geologicznych na powierzchni Ziemi. Przy pomocy teledetekcji można na przykład oceniać stan szkodów górniczych.

W 1976 roku został utworzony Ośrodek Przetwarzania Obrazów Lotniczych i Satelitalnych. Dzięki temu Polska uczestniczy również w badaniach teledetekcyjnych. Do prowadzenia tych badań wykorzystuje się zdjęcia lotnicze, obserwacje dokonywane przez balony i satelity. W czasie lotu kosmicznego mjr M. Hermaszewskiego w programie ZIEMIA przewidziano wykonanie zdjęć satelitalnych trzech rejonów Polski: Mośnicy w województwie poznańskim, Środy Śląskiej w województwie wrocławskim i Plocka.

Tu warto wspomnieć, że badania teledetekcyjne wykonywane z satelitów i stacji orbitalnych wywołują pewne trudności, jako że niektóre kraje w tym kraju Trzeciego Świata uważają, że stanowią one naruszenie ich suwerennych praw i mogą wpływać niekorzystnie na ich stosunki z krajami wysoko uprzemysłowymi, które są w stanie prowadzić takie badania i mogą poznać tajemnice surowcowe krajów trzecich. Sprawami prawnego uregulowania tego trudnego problemu zajmuje się Komitet ONZ do Spraw Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej.

Pokojowe wykorzystywanie przestrzeni kosmicznej sprawa się nie tylko do lotów kosmicznych. Kosmos wykorzystuje się też dla telekomunikacji.

Kontynety naszej planety połączone są wprawdzie kablami podmorskimi, umożliwiającymi łączność międzykontynentalną. Wykorzystuje się do tego celu również fale radiowe, ale ich rozchodzenie się bywa zakłócające, a współczesne kable podmorskie pozwalają na jednocześnie prowadzenie 1840 rozmów. Natomiast

## łączność satelitarna

pozwała na jednoczesne prowadzenie 10 tysięcy rozmów. Poza tym są to systemy łączności o wiele tańsze niż kable.

Teledetekcja — a szczególnie kibice sportowi — mieli już niejednokrotnie możliwość przekonania się o użyteczności łączności satelitarnej, dzięki której można było obserwować bezpośrednio z Kanady mecze rozgrywane na olimpiadzie, a ostatnio z Argentyny — mecze Mundialu — 78. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że przekaz telewizyjny jest głównym celem łączności satelitarnej. Głównym celem są połączenia telefoniczne i telegraficzne. Polska od marca 1978 roku przeprowadza rozmowy przez Kosmos, aczkolwiek już wcześniej wiele osób z Polski rozmawiało z Kanadą czy USA poprzez Kosmos, jako że połączenia takie stosowano w innych krajach, przez które tranzytem szły rozmowy z Polski.

Działają obecnie dwa systemy łączności satelitarnej: INTELSAT — system obejmujący cały glob oraz INTERSPUTNIK — system „regionalny”, obejmujący europejskie kraje socjalistyczne, a także Kubę i Mongolię, co też daje mu zasięg niemal globalny. Dla funkcjonowania systemu INTERSPUTNIK wykorzystuje się radzieckie satelity komunikacyjne „Molnia”, w przygotowaniu są nowocześniejsze satelity geostacjonarne „Stacjonar”.

Polska posiada pięć łączy telefonicznych do RFN, które przeznaczone są do wyłącznego komunikowania się ze stacją naziemną w Raisting w RFN, która odbiera przekazy z satelitów komunikacyjnych systemu INTELSAT.

Natomiast dla kontaktowania się w ramach systemu komunikacyjnego INTERSPUTNIK zbudowano w Psarach koło Kielc stację naziemną. Powstaje obecnie nowy system telekomunikacji, który będzie operował superwielkimi częstotliwościami.

Międzynarodowy Związek Telekomunikacyjny dokonał już przydziału kanałów i pozycji orbitalnych dla stacji transmisyjnych. Polska otrzymała 5 kanałów, a dla odbioru transmisji telewizyjnych trzeba będzie wybudować stację naziemną w okolicy Łodzi. System ten przeznaczony został dla przekazywania transmisji telewizyjnych. Na „naszym” satelicie pracować będzie kilka państw afrykańskich oraz nasi najbliżsi sąsiedzi. W

niektórych rejonach Polski można będzie odbierać transmisje telewizyjne przeznaczone dla CSRS i NRD. Nie należy jednak tego nowego systemu łączności satelitarnej mylić z przekazywaniem programów telewizyjnych bezpośrednio do odbiorców telewizyjnych stojących w naszych mieszkaniach. System ten dopiero rodzi się i to nie tylko w skali technicznej, ale również prawnej. Nie wszystkie bowiem kraje — a w tym spora część państw Trzeciego Świata — godzą się na nadawanie na ich terytorium programów telewizyjnych bezpośrednio z satelitów przez państwa trzecie. Sprawa również znajduje się w Komitecie ONZ do Spraw Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej.

To oczywiście są nie wszystkie korzyści, jakie daje nam — mieszkańcom Ziemi — poznawanie przestrzeni okołoziemskiej. Wystrzelanie satelitów stało się dziś czynnością niemal banalną, ale aby tę banalną czynność wykonać niezbędny jest określony poziom techniki. I właśnie ta technika znajduje w dużej mierze zastosowanie w różnych dziedzinach życia na Ziemi. Aby móc wystrzelować statki kosmiczne, stacje orbitalne, kosmiczne transportowce potrzeba techniki jeszcze wyższej, jeszcze doskonalszej, bardziej precyzyjnej. I taką techniką dysponują obecnie dwa państwa: ZSRR i USA. A technika ta jest nadal doskonała, gdyż oba państwa w programach badań kosmicznych zakładają coraz wyższe zadania. Związek tych programów z rozwojem techniki jest bezsprzeczny. Jest to sprzężenie wzrotne: im wyższy poziom techniki i nauki, tym trudniejsze i bardziej skomplikowane zadania można sobie stawiać, a trudniejsze i bardziej skomplikowane zadania stawia się przed nauką i techniką, tym silniej inspirowane jest jej rozwój. A

## skutki tego rozwoju

stają się też odczuwalne dla nas wszystkich.

Oto jeden z przykładów. Aparaty skonstruowane przez uczonych polskich, jak kardiolider, fizjotest, czy przez czeskosłowackich — oksymetr służyć będą również w działalności naziemnej placówek badawczych, a z czasem mogą też stać się aparatami używanymi w lecznictwie. Przypuszcza się też, że kosmitem neutralizujący wpływ nieważkości na krążenie krwi będzie mógł być stosowany do badań wrażliwości człowieka na niedokrwienie kory mózgowej, a także przy reanimacji.

Oczywiście są to nie wszystkie skutki działalności kosmicznej człowieka, które wykorzystuje on na Ziemi. Myślę jednak, że będzie jeszcze niejedną okazją do sprezentowania dalszych korzyści.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## SPORY O PRZYSZŁOŚĆ

Dzieje myśli ludzkiej znają trzy podstawowe rodzaje refleksji historyzoficznej. Pierwszy z nich jest oparty o koncepcję degeneracji, która głosi, że wszystko już właściwie było, świat przeżył swój wiek złoty, a to, co po nim następuje może być jedynie zmianą na gorzej. Drugi spośród nich wyraża koncepcja cyklicznego głosząca, że dzieje ludzkie toczą się jak gdyby po okręgu koła, co też po linii spirali, powtarzając co jakiś czas, co się już niegdyś wydarzyło, uzupełniając je co najwyżej jakimś dodatkowym modyfikacją. Trzeci wreszcie rodzaj refleksji historyzoficznej opiera się o koncepcję rozwoju i głosi, że ludzka cywilizacja ustawnie się rozwija i doskonali, osiągając w swych dziejach coraz to wyższe szczyty. Każdy z tych rodzajów historyzofii obejmuje, jak łatwo zauważyć, jakąś wizję przyszłości, jakąś futurologię. Wskazane trzy rodzaje refleksji nad biegiem dziejów, znane już od czasów starożytności, nie u-

traclily po dziś dzień swojej aktualności. Rację ma Mariusz Gulczyński, gdy powiada, że „te trzy rodzaje spojrzenia na przyszłość cywilizacji występują również współcześnie, stanowiąc sedno różnych teorii naukowych”.

W swej książce p.t.: „Spór o przyszłość” (MON 1978) M. Gulczyński nie stawiał sobie za zadanie omówienia wszystkich, rozwijających się we współczesnym świecie koncepcji historyzoficznych i proponowanych na ich podstawie prognoz przyszłych dróg rozwoju ludzkiej cywilizacji. Podkreślając aktualność optymistycznej historyzofii, zawartej w teorii marksizmu, akcentując z mocą znaczenie marksistowskiego historyzmu — jak wiadomo niesłusznie dziś podważane przez myślicieli w rodzaju L. Althussera — autor skupił się na tych współczesnych koncepcjach, które rozmaił teoretycy rozwijają w walce z określaną przez marksizm wizją rozwoju ludzkości. Słusznie M. Gulczyński

podkreśla, że dający się nie od dzisiaj zauważyć „popęty” na rozmaite teorie prognostyczne, mające służyć „ideologicznej reintegracji” społeczeństw krajów kapitalistycznych, ma swoje społeczne i polityczne uwarunkowania. Chodzi tu mianowicie — jak pisze autor — o „interpretowanie w sposób opozycyjny wobec naukowego socjalizmu źródeł i charakteru zmian zachodzących we współczesnym świecie — tak w kapitalizmie, jak i w socjalizmie — a także upowszechnianie alternatywnych wobec socjalizmu wizji kierunków i dróg rozwoju społecznego”.

M. Gulczyński zajął się dokładnie trzema spośród licznych burżuazyjnych koncepcji prognostycznych, najbardziej rozpowszechnionymi w świecie i posiadającymi znaczną nośność polityczną. Pierwsza z nich to „technokratyczna alternatywa hegemonii proletariatu”, mianowicie teoria technokracji głosząca, że rozwój społeczeństwa nieuchronnie prowadzi do powstania stosunków, w których przewyżczone zostaną wszystkie niedostatki dzisiejszego kapitalizmu, a to dzięki przejściu kierownictwa życiem społecznym „przez inżynierów i techników”, czyli przez

te grupy społeczno-zawodowe, które przejmowały od burżuazji sterowanie procesami produkcyjnymi w zmechanizowanych przedsiębiorstwach przemysłowych”. Oczywiście, teoria technokratyzmu nie przedstawia się dziś wcale tak prosto, jakby to wynikało z powyższego zdania, że pierwotna „inżynierska” wersja teorii, popularna w okresie międzywojennym, doczekała się wzbogacenia i modyfikacji, jak o tym świadczą rozliczne współczesne teorie „menadżerskie” oraz pluralistyczne koncepcje panowania różnorodnych elit, zasadnicza jednak idea pozostała bez zmian. Drugą z koncepcji prognostycznych, rozpatrywaną przez M. Gulczyńskiego jest — mówiąc jego słowami — „konwergencyjna alternatywa społeczeństwa ekonomiki”, mianowicie różne poglądy zakładające „możliwość kojarzenia rozwiązań właściwych kapitalizmowi i socjalizmowi”. Teoria konwergencyj — podkreśla autor — „stanowi najbardziej rozwiniętą alternatywę upowszechnienia ekonomicznej sfery bytu, zakładaną przez marksistowską teorię rozwoju” i zapowiada „stopniowe wygaszanie” podstawowej sprzeczności naszej epo-

ki — między dwoma zasadniczo przeciwnymi sobie systemami ustrojowymi — „na drodze zaniku cech odmiennych i narastania obustronnych podobieństw”. Teoria, ta, której ojcem duchowym jest Pitrim A. Sorokin, niegdyś działacz eserowski, w Rosji, obecnie wpływowi amerykański socjolog, zrobila szczególnie dużą karierę wśród teoretyków i praktyków antykomunizmu w świecie. Na jej podstawie rozwinięły się w wielu krajach burżuazyjnych zróżnicowane interpretacje prognostyczne, by wspomnieć tylko o omawianych przez M. Gulczyńskiego koncepcjach submergencyj, zakładających nieuchronność stopniowego upodabniania się ustroju socjalistycznego do kapitalistycznego w związku z ustawicznym rozwojem przemysłu, czy koncepcjach dywergencyj, które zakładają zachowanie istniejących aktualnie odmiennych systemów i głoszą wiarę w perspektywie dwóch odmiennych dróg rozwoju ludzkości. Za tymi ostatnimi poglądami opowiada się — jak wiadomo — znany dobrze z areny politycznej Zbigniew K. Brzezinski.

I wreszcie trzecia spośród koncepcji, które doczekały się

krytycznego omówienia piórem M. Gulczyńskiego: postindustrialna alternatywa komunistycznej perspektywy rozwoju społecznego”, czyli teorie społeczeństwa cywilizacyjnego i postindustrialnego, w rodzaju koncepcji głoszonych przez Daniela Bella. Istotą tego rodzaju poglądów jest przekonanie, że rozwój ludzkości zmierzania nie do komunizmu, ale do jakiegoś postindustrialnego społeczeństwa powszechnego dobrobytu, zapewniającego szczęście, co ma nastąpić na drodze ewolucji, w wyniku wszechstronnej industrializacji wszystkich sfer życia gospodarczego. Również i ta teoria, podobnie jak wszystkie, omówione poprzednio w książce M. Gulczyńskiego, proponuje taką wizję przyszłego rozwoju ludzkości, która nie narusza podstawy systemu kapitalistycznego: prywatnego władania środkami produkcji. Dlatego też tego rodzaju koncepcje mogą odgrywać tak istotną rolę w toczącej się w świecie walce ideologicznej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BIAJER, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANIC, JERZY URBANKIEWICZ.



Foto: W. Parys

**LECH KROWIRANDA**  
wiceprezydent m. Łodzi

## ZANIM ROZPOCZNIE SIĘ NARODOWY SPIS POWSZECHNY

Czwarty po wyzwoleniu, a szósty w ogóle Narodowy Spis Powszechny w Polsce zostanie przeprowadzony w terminie od 7 do 13 grudnia bieżącego roku. W tych dniach wszystkie mieszkania w naszym kraju odwiedzą rachmistrze spisowi, aby na specjalnie w tym celu przygotowanych formularzach zebrać informacje, które pozwolą określić „jacy jesteście” i „jakie są nasze warunki życia”.

Na formularzach spisowych zawarto 26 pytań o cechy charakteryzujące każdą osobę spisywaną (np. płeć, wiek, stan cywilny, wykształcenie, rodzaj wykonywanej pracy) oraz 10 pytań o cechy spisywanego mieszkania (np. powierzchnia ogólna, liczba izb, wyposażenie w podstawowe instalacje), a także 7 pytań na temat cech budynku, w którym znajduje się mieszkanie oraz cech gospodarstw domowych tam zamieszkujących. Ponadto 10 proc. ludności będzie objęte badaniem reprezentacyjnym na temat ruchów migracyjnych oraz dojazdów do pracy i szkoły.

Wyniki spisu będą wykorzystane przede wszystkim do tworzenia wieloletnich planów rozwoju społeczno-gospodarczego, zarówno na szczeblu centralnym, jak i w poszczególnych województwach, miastach i gminach. Posłużą również wielu instytucjom i placówkom naukowo-badawczym do opracowań na temat kierunków i tempa zmian w warunkach bytu oraz w strukturze demograficznej naszego społeczeństwa. Zebranie odpowiednich danych i precyzyjnych informacji na te tematy w innej formie niż spis powszechny jest — jak wykazują doświadczenia — praktycznie niemożliwe. Stąd też większość krajów świata (niektóre już od ponad stu pięćdziesięciu lat) przeprowadza u siebie w dziesięcioletnich na ogół odstępach czasu spisy powszechne. Zanim jednak dojdzie do zebrania materiałów spisowych, ich opracowania i opublikowania — konieczne jest wykonanie całego szeregu żmudnych i pracochłonnych działań poprzedzających spis.

Każdy spis powszechny jest przedsięwzięciem wymagającym zaangażowania ogromnych sił i środków. Oblicza się, że w nadchodzącym spisie w skali całego kraju będzie pracowało ponad 250 tysięcy osób, z czego blisko 200 tysięcy będą stanowili rachmistrze spisowi, bezpośrednio zbierający informacje od ludności, a ponad 50 tysięcy ludzi zajmujący się szkoleniem, organizowaniem akcji spisowej i nadzorowaniem jej przebiegu.

Zasadnicze prace merytoryczne w spisie wykonają organy statystyki państwowej. Zajmą się one przygotowaniem instrukcji oraz formularzy

spisowych, ustaleniem zakresu i harmonogramu realizacji prac przygotowawczych oraz opracowaniem wyników spisu. Nadzór fachowy nad przebiegiem NSB sprawować będzie Biuro Spisów Głównych Urzędu Statystycznego w odniesieniu do całego kraju, a w poszczególnych województwach — dyrektorzy wojewódzkich urzędów statystycznych wraz z grupami oddelegowanych do tego celu pracowników, którzy będą stanowić część obsady personalnej wojewódzkich biur spisowych.

Wykonanie jednak wszystkich prac związanych ze spisem przekracza znacznie możliwości organów statystyki państwowej i wymaga wydanej pomocy ze strony innych instytucji. W Polsce tradycyjnie już najpoważniejszym partnerem organów statystyki w przygotowywaniu i przeprowadzaniu spisów powszechnych są terenowe organy administracji państwowej. Ich uczestnictwo w pracach spisowych zaczęło się już na etapie ustalania tematyki spisu przez Programową Komisję Spisową. Głównym jednak polem działania terenowych organów administracji państwowej jest udział w pracach przygotowawczych do spisu oraz w czynnościach związanych z jego zorganizowaniem i przeprowadzeniem.

Prace przygotowawcze do NSP 1978 r. rozpoczęły się już w I kwartale 1977 r. i trwać będą aż do momentu rozpoczęcia spisu. Najogólniej rzecz biorąc cel i zakres wszystkich prac przygotowawczych sprowadza się do tego, aby w okresie trwania spisu zapewnić rachmistrzom warunki do właściwego i terminowego wykonania prac spisowych. Oznacza to

między innymi, że należy doprowadzić do sytuacji, w której:

— wszyscy rachmistrze spisowi otrzymają dokładne i aktualne szkice terenu, w którym mają przeprowadzić spis a ponadto dokładne i aktualne wykazy nieruchomości i mieszkań, które każdy z nich ma odwiedzić;

— rachmistrze muszą mieć maksymalnie ułatwione warunki poruszania się w terenie, w związku z czym w okresie przeprowadzania spisu wszystkie nieruchomości powinny posiadać właściwe i czytelne numery porządkowe, a wszystkie ulice — umieszczone w odpowiednich miejscach aktualne tabliczki z ich nazwami.

Spełnienie tych pozornie nieskomplikowanych wymagań nie jest w praktyce zbyt proste. Pomijając zdarzające się czasem niedociągnięcia w pracy instytucji zajmujących się administracją nieruchomości, trzeba stwierdzić, że poważnym utrudnieniem w zapewnieniu prawidłowego stanu na tym odcinku jest trwający od lat ogromny ruch budowlany, zmieniający niemal z dnia na dzień oblicze naszego województwa. W szybkim tempie znikają stare budynki a na pustych przedziałkach pojawiają się nowe osiedla. Wszystko to sprawia, że już na półtora roku przed spisem trzeba dokonywać, powtarzanych potem kilkakrotnie, kontroli nazw ulic i numeracji nieruchomości. Obowiązek przeprowadzania tych kontroli, a następnie usuwania stwierdzonych usterek obciąża urzędy dzielnicowe Łodzi oraz urzędy miast i gmin województwa.

Szeroko zakrojoną akcją kontrolną tego typu przeprowadzono w maju i czerwcu ubiegłego roku. Oprócz setek pracowników administracji terenowej uczestniczyli w niej ochotniczo członkowie Związku Harcerstwa Polskiego. W wyniku tej akcji ujawniono w województwie 158 ulic, którym trzeba było nadać lub zmienić nazwę, stwierdzono brak lub konieczność wymiany około 7,5 tysiąca tabliczek z nazwami ulic oraz ponad 6,5 tysiąca tabliczek z numerami porządkowymi nieruchomości. Około 3,5 tysiąca nieruchomości wymagało zmiany numerów porządkowych. Usunięcie stwierdzonych usterek odbyło się na jesień ubiegłego roku. Niektóre z efektów tego działania są już widoczne, jak chociażby wyposażenie

wszystkich ulic Łodzi w nowe, estetyczne i bardziej trwałe od poprzednich tabliczki z ich nazwami. Oczywiście kontrole tego rodzaju będą powtarzane jeszcze wielokrotnie.

Uaktualnianie wykazów nieruchomości rozpoczęło się już w trzecim kwartale ubiegłego roku i również trwać będzie aż do momentu rozpoczęcia spisu. Czynności te wykonują na razie pracownicy organów statystyki oraz część pracowników naszych urzędów miejskich i gminnych. Pod koniec trzeciego kwartału 1978 r. prace te kontynuować będą dzielnicowe, miejskie i gminne biura spisowe. Obecnie znajdujemy się w końcowym etapie tworzenia aparatu spisowego w województwie. Wojewódzkim komisarzem spisowym jest prezydent miasta, działający w tym charakterze już od czerwca 1978 roku. Komisarzami spisowymi w dzielnicach Łodzi oraz w pozostałych miastach i gminach są naczelnicy tych jednostek administracyjnych. Organem wykonawczym aparatu spisowego będą biura spisowe różnych stopni.

W maju 1978 r. utworzyliśmy Wojewódzkie Biuro Spisowe, które będzie sprawować nadzór merytoryczny nad przebiegiem spisu w województwie oraz dokonywać kontroli działania biur spisowych niższych stopni. W każdej z poszczególnych dzielnic Łodzi obok Dzielnicowego Biura Spisowego będzie działało od 8 do 20 okręgowych biur spisowych, w zależności od liczby mieszkańców dzielnicy. W pozostałych miastach i gminach tworzymy odpowiednio miejskie i gminne biura spisowe. Obsadę personalną biur spisowych wszystkich stopni mają stanowić w znacznym stopniu pracownicy terenowych organów administracji państwowej. Wymaga to oddelegowania do prac spisowych na okres około pięciu miesięcy blisko 300 pracowników naszych urzędów oraz wydzielenia w siedzibach tych urzędów odpowiednich pomieszczeń do pracy dla biur spisowych.

Kolejne zadania stojące przed terenowymi organami administracji to zapewnienie pomieszczeń na szkolenia pracowników aparatu spisowego i rachmistrzów spisowych, które odbędą się w listopadzie bieżącego roku. Liczymy w tym zakresie na pomoc szkół i innych instytucji dysponujących odpowiednimi pomieszczeniami. Szkoleniami zostanie objętych około 5 tysięcy kandydatów na rachmistrzów i 800 pracowników biur spisowych różnych stopni. Najważniejsze zadania biur spisowych w tym roku to podział terenu województwa na stałe rejony i obwody spisowe, naniesienie tego podziału na odpowiednią dokumentację kartograficzną, właściwe przygotowanie i rozdzielanie druków spisowych na poszczególne obwody spisowe, przeprowadzenie weryfikacji rachmistrzów, odpowiednie ich przeszkolenie i wreszcie właściwe oraz umiędzynarodowienie akcją spisową.

Jak widać już z tej dość pobieżnej z konieczności charakterystyki zadań stojących przed administracją terenową, czeka nas ogrom prac, które należy wykonać sprawnie, terminowo i z maksymalną dokładnością. Warto też podkreślić fakt, że zbliżający się spis jest organizowany w nieco odmiennych niż poprzednie warunkach. Zdecydowała o tym, podjęta na podstawie Uchwały Rady z maja 1976 r., zmiana terminu przeprowadzenia spisu. Zgodnie ze stosowaną w naszym kraju praktyką i zaleceniami międzynarodowych organizacji statystycznych, kolejny Narodowy Spis Powszechny miał być przeprowadzony w roku kalendarzowym zakończonym na zero a więc w 1980. Przeprowadzono w 1975 r. reformę administracji państwowej spowodowaną, że znaczna część posiadanych przez nas informacji statystycznych na temat struktury demograficznej oraz społeczno-ekonomicznej ludności okazała się niewystarczająca dla potrzeb nowych województw a zwłaszcza gmin. W tej sytuacji — wobec pilnych potrzeb gospodarki związanych głównie z koniecznością opracowania planów społeczno-gospodarczych na lata 1981—85 — zaistniała konieczność przyspieszenia terminu spisu o dwa lata. Tendencje wiązania terminów spisów powszechnych z cyklami planowania społeczno-gospodarczego obserwuje się również w innych krajach RWPG. Np. ZSRR, NRD i CSRS zamierzają przeprowadzić spisy powszechne w styczniu 1979 r.

Decyzja o przyspieszeniu terminu spisu oznacza dla nas, że musimy wszystkie niezbędne prace związane z przygotowaniem i przeprowadzeniem NSP wykonać o dwa lata wcześniej i to wykonać odpowiednio sumiennie i dokładnie. Do nielatwego zadania wymagać będzie pełnej mobilizacji i maksymalnego zaangażowania wszystkich pracowników oddelegowanych do prac spisowych. Powodzenie tej trudnej pracy zależy też będzie od stosunku nas wszystkich do NSP, czy potrafimy maksymalnie ułatwić rachmistrzom spisowym ich pracę oraz od tego, jak zastosujemy się do zaleceń zawartych w specjalnej ulotce, którą każdy z nas przed spisem otrzyma. Poprzez życzliwy stosunek do akcji spisowej mieszkańcy województwa mogą znacznie pomóc w sprawnym i terminowym jej przeprowadzeniu.

## POLITECHNIKA— GOSPODARCE

W referacie Biura Politycznego, ogłoszonym na XII Plenum KC PZPR przez tow. Edwarda Gierka, stwierdzono, że po to, by nauka mogła efektywnie realizować swoją funkcję społeczną, musi być spełniony, obok tworzenia nowych wartości poznawczych, także drugi warunek: „wiązać nauki z życiem, z potrzebami kraju, synchronizacja kierunków badań z kierunkami rozwoju gospodarki i kultury narodowej, koncentracja wysiłku na zadaniach najważniejszych oraz sprawnie i efektywnie działające mechanizmy stosowania wyników badań w praktyce gospodarczej i społecznej”.

Prace badawcze dla potrzeb gospodarki narodowej są od dawna jedną z podstawowych dziedzin działalności Politechniki Łódzkiej. Jednak dopiero w ostatnich latach zyskały one większy rozmach. W roku 1977 nakłady na te prace wynosiły 231 mln złotych, co oznacza, że ponad 80 proc. potencjału uczelni zaangażowano w realizację umów z jednostkami gospodarczymi.

Badania o charakterze podstawowym powinny być rozwijane przede wszystkim, obok placówek PAN, w szkołach wyższych. Czy przeznaczenie 20 proc. potencjału naukowego Politechniki na prace własne wystarczy do osiągnięcia wysokiego poziomu badań podstawowych? Sądzę, że nie ma powodów do obaw, gdyż realizacja umów z jednostkami gospodarczymi nie jest równoznaczna z wykonywaniem jedynie prac zleconych. Wiele miejsca, szczególnie w programach i problemach koordynowanych centralnie, zajmują właśnie badania o charakterze poznawczym. Ich wyniki mają stanowić bazę do rozwiązywania konkretnych problemów ważnych dla praktyki gospodarczej.

Realizowana w ostatnich latach idea finansowania i organizacji prac badawczych w oparciu o system problemów priorytetowych zyskała w PL uznanie i żywy odzwiek w postaci zaangażowania 55 proc. potencjału badawczego uczelni w rozwiązywanie tych problemów. Instytut Politechniki prowadzi badania m. in. w ramach sześciu programów rządowych i trzydziestu sześciu problemów węzłowych i resortowych. Szczególnie duży udział ma łódzka uczelnia techniczna w wykonywaniu rządowych programów badań naukowych: „Rozwój materiałów i podzespołów dla potrzeb elektroniki kraju”, „Optymalizacja produkcji i spożycia białka” oraz „Kompleksowy rozwój budownictwa mieszkaniowego”.

Rozwiązywanie problemów o kluczowym znaczeniu dla dalszego rozwoju kraju prowadzi z jednej strony do zwiększenia odpowiedzialności ludzi nauki za jakość prac badawczych, z drugiej — do przeświadczenia o celowości podjętego trudu. Z pewnością zyska na tym gospodarka i cały naród.

W Politechnice Łódzkiej jeszcze nie tak dawno wartość zleczonych przez przemysł prac badawczych nie przekraczała pół miliona złotych. Dzisiaj wynosi ona średnio 1 milion 340 tysięcy zł, a umowy wielomilionowe nie należą do rzadkości.

Prorektor do spraw nauki PL prof. Tadeusz Koter uważa, że jest to jedno z najważniejszych osiągnięć uczelni w ostatnich latach. Uproflowanie tematyki umożliwia uczelnianym instytutom osiągnięcie wysokiego poziomu w wybranych dziedzinach, co za tym idzie, wzrost ich rangi naukowej w kraju i za granicą.

Kierunki specjalizacyjne określono nie tylko w instytutach. Wyboru dokonano także w skali całej uczelni. Postanowiono skoncentrować działalność naukową wokół wybranych programów uczelnianych, które w przyszłości mają stać się kierunkami specjalizacji naukowej Politechniki. Obecnie funkcjonuje sześć takich programów. Są to: „włókiennictwo i maszyny włókiennicze”, „problemy behawioralnego zagłębia paliwowo-energetycznego”, „chemia i technologia spożywcza”, „transformatory, maszyny i aparaty elektryczne”, „papiernictwo i maszyny papierniczne” oraz „hydraulika siłowa”. Dwa następne są w przygotowaniu.

Spśród opracowań wprowadzonych do praktyki, największe efekty ekonomiczne (ok. 165 mln zł rocznie) przyniosła, opracowana w Instytucie Chemii Organicznej PL przy ścisłej współpracy ze specjalistami pabianickiej „Polfy”, technologia produkcji nowego polskiego leku przeciwreumatycznego „IBUPROFEN”.

Zakres i wyniki współdziałania zależą też znacznie od ludzkiej aktywności, dobrej woli i umiejętności perspektywicznego smorzenia, w przyszłość. Potwierdza to m. in. wieloletnia partnerka współpracująca PL z „ELTA” i „WIFAMA” oparta w dużym stopniu o wymienione wartości. Wszelkierne bliskie stosunki z zakładami pracy Łodzi mogą stać się wielką szansą zarówno dla uczelni, która potrzebuje silnego wsparcia w zakresie doinwestowania i dofinansowania, jak i dla zakładów, których dalszy rozwój oraz doskonalenie procesu produkcyjnego i jakości wyrobów w dużej mierze zależy od stopnia wykorzystania nowoczesnej myśli naukowo-technicznej.

PAWEŁ PATORA

## MAKSIM TANK

Tegoroczną Nagrodę Leninowską w zakresie literatury otrzymał wybitny poeta białoruski, zasłużony tłumacz poezji polskiej — MAKSIM TANK, którego utwory wielokrotnie zamieszczaliśmy na łamach „ODGŁOSÓW”.

Z okazji tak zaszczytnego wyróżnienia składamy Laureatowi serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów twórczych, prezentując jednocześnie kilka najnowszych utworów nie znanych jeszcze polskiemu Czytelnikowi, w przekładach poety i tłumacza M. J. Kononowicza.

RED.

## KIEDY PIEŚŃ BYŁA POTRZEBNA

Kiedy pieśń była potrzebna —  
Do cudzych drzwi nie pukałem,  
W swej chacie ją znajdowałem,  
Tak, jak siekiere pod ławą,  
Jak garnek — na płycie kuchni,  
Tak, jak w solniczce — garść soli,  
Jak kij podróżny w drewnitni,  
Czy jak skowronka na roli.

Zaś kiedy ją będę pieśni  
Potrzebny za dnia, czy nocą,  
Wie dobrze, że mnie odnajdzie  
W ojczyźnie mej nad Naroczą,  
W chacie, za plugiem, czy w drodze,  
Czy w gaju dębowym rano.  
Nie znajdzie mnie — niech zawola:  
Ja wstanę i spod kurhanu.

## ZNÓW NA TYCH ŚCIEŻKACH

Znów jestem na tych ścieżkach,  
gdzie przed laty

Z pastuszą torbą — bosonóg — biegalem.  
Na wyraj leżą liście, niby ptaki,  
Z brzoź ogorzalnych, złotem osypanych.  
Jak dawniej

w grzyby obfituje jesień,

I znajomych sosen słychać szum i śpiew,  
Choć niewielu zostało w dawnym lesie  
Przyjaciół młodości —

rowieśnych mi drzew.

Nawet nie pytam o ich los nielekkie,  
Tak, jak i one o mój nie pytają.  
Cieszymy się sobą i tym, że obłoki  
Spokojnie modrym niebem przepływają.  
Pachnie mrowiskiem i pachnie błołotem,  
Aromat malin, borówek i wrzосу —  
Cóż mnie tak wola

w krainę młodości

Do swoich ścieżek, do odwiecznych borów,  
Do matni zwierza

i do gniazd ptaszęcych,

Do przyzby ojców,

do drewnianych progów?

Widocznie żyje w nich baśniowa siła,  
Bez której by ta puszcza nie wabiła,  
Bez której pieśniom skrzydeł by zabrakło,  
Bez której w sercu wygasłoby światło.

## PODKOWA PEGAZA

Dziś mało kto pamięta,  
Jak wyglądał romantyczny Pegaz,  
Który,

zjadłszy zęby na syntetycznej trawie,  
Oślepiony  
neonowymi błyskawicami,

Ogłoszony

szumem skrzydeł

Odrzutowych żurawi,

Gdzieś zaginął, wpiątawszy się

W pajęczynę autostrad

I tras pojazdów kosmicznych,

W gęstym lesie znaków drogowych.

Jeszcze tylko rdzewieje podkowa,  
Które kiedyś znalazłem  
I przybiłem  
Nad progiem  
Pamięci.

\*\*\*

Ponoć się rozlatują galaktyki.  
Bóg z nimi!  
Mnie bardziej niepokoi,  
Że odległość między nami,  
Która kiedyś mierzyliśmy ustami,  
Potem — wiorstami milczenia,  
Potem — miesiącami czekania,  
Ciagle się zmienia —  
Teraz mierzona jest w innej skali:  
Świetlnymi latami.

Przełożył: MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

## BOŻENA GOGOLEWSKA

# BUDZIK

Och, skądże znowu. Nie jestem pustelnikiem! Moje życie było pełne uciech i ludzi. Twarze, twarze, coraz to inne, bo nie wiadomo dlaczego, moi znajomi (przyjaciół nie miałem) szybko zrażali się do mnie i byłem zmuszony do szukania nowych kontaktów. Możliwe, że powodem był mój brak szczerości i niechęć do nadmiernej poufalości. Taki sam byłem wobec kobiet, a nawet chyba szczególnie wobec nich. Zjawiali się i trwały przez jakiś czas, póki nie przekonali się, że nie stanowią dobrego materiału na męża, a moje rozkojane spojrzenie jest tylko i wyłącznie wynikiem prawie nieuchwytnego zęza. Czułem się z tym wszystkim, to znaczy z zezem, znajomymi i zmieniającymi się damami, może nie tyle serca, ile, mniejsza z tym, zupełnie dobrze. Po ukończeniu historii sztuki zacząłem pracować w muzeum, bez entuzjazmu wprawdzie, ale i bez przykrości. Po prostu do pracy, jak i do wielu innych spraw, miałem stosunek raczej obojętny. O tym, że noszę w sobie zakodowany budzik dowiedziałem się dość późno. Zanim to nastąpiło poznałem Jolę.

Spotkałem ją wcześniej przynajmniej dwie Jole, lecz były całkiem zwyczajne. Ta natomiast cechowała się taką nieporadnością, że nieoczekiwanie dla samego siebie postanowiłem się nią zaopiekować. Daję słowo, nie przychodziło mi do głowy, że z czymś takim można by pójść do łóżka. Otrzymałem dopiero wtedy, gdy któryś z moich kolegów gwizdnął z obślizniętym uznanem na widok jej nóg. Czym prędzej postanowiłem nadrobić zaległości i zabrałem się do tego z takim wigorem, że już po niedługim czasie okazało się, iż mam zostać ojcem. I wcale nie uważałem się z tego powodu za pechowca. Słub był cichy, żeby potem nie stało się głośno od plotek. W końcu panna młoda była solidnie napompowana i już od trzeciego miesiąca ciąży wyglądała tak, jakby lada moment miała urodzić. Urodziła jednak prawidłowo, w dziewięć miesięcy po zapłodnieniu, a w pięć po złożeniu u-

roczystej przysięgi na wierność i to, że jej nie opuścisz aż do śmierci.

Boże, jak ja byłem pijany po otrzymaniu wiadomości, że mam syna. No i dobrze, że się wtedy zabrałem, bo już w cztery dni później zaterkotał budzik.

Jolę należało wziąć ze szpitala o godzinie jedenastej przed południem. Odebrałem należny mi dzień wolny i wyruszyłem po następcę tronu w towarzysze mojej matki. Już w tak-sówce poczułem rytmiczne skurcze żołądka. Była dokładnie godzina dziesiąta trzydzięci — spojrzalem wtedy, sam nie wiem po co — na zegarek. Skurcze powtarzały się w mniej więcej regularnych odstępach czasu przez następne pół godziny. Punktualnie o jedenastej zaczęło dzwonić. Dzwoniło mi w uszach, co przy dobrej woli dałoby się uznać za normalny objaw zdenerwowania, ale dzwoniło też w oczach, we włosach, w paznokciach, jednym słowem wszędzie. Spocilem się strasznie i pewnie zbliżłem, albo szczytnie, bo mama zaczęła mi się dziwnie przyglądać. W tej samej chwili, kiedy w końcu korytarza pojawiła się Jola, za którą kroczyła salowa z niemowlęciem, dzwonienie ustalo. Jolę miejsce zajęła żona, powiem więcej, wsiolekłość. Warknęłam na żonę:

— Coś ty zaszła, czy co?

— Ależ — jak zawsze nieporadna Jola bliska była placzu. — Jest dopiero piątkaście po. Musiałam nakarmić malego.

Potem, przez całe dwa lata, żyłem normalnie. Jolę nie pozwoliłem pójść do pracy w przekonaniu, że miejsce kobiety jest przy dziecku i obie z matką zajmowały się malym. Do mamy miałem zaufanie, wiedziałem, że doskonale potrafi zaopiekować się Jolą i moim synkiem. Mielśmy oczywiście kłopoty finansowe, ale to nie spędzało mi snu z powiek, bo któż ich nie ma. Nie spodziewałem się jednak tego, że matka pozwoli sobie na taką nierozważną, jaka jest nagła śmierć. Cóż, kiedy tak właśnie się stało. Teraz na moją powroty z pracy czekała już tylko Jola. Kiedy przychodziłem, mały za-

zwyczaj spał. Po jego popołudniowej drzemce bawiliśmy się bardzo często w chowanego. Naprawdę uwielbiał tę zabawę. Pewnego razu udało mu się ukryć tak sprytnie, że przez dłuższą chwilę nie mogłem go odnaleźć. Czułem wzrastający niepokój, potem dążyłem do siebie rytmiczne skurcze żołądka i wreszcie zaczęło dzwonić. Zupenie jak sto punktualnych i rozświetlonych budzików, bo jeden doprawdy nie mógłby narobić takiego hałasu. Opadłem jak łachman na krzesło i nie-wnać synka. Wyszłed, dziś już nie pamiętam skąd, i z rozradowaną miną wdrapał mi się na kolana, bardzo dumny z wynalezionego schowka. A ja, zamiast pochwalić go za pomyslowość, po raz pierwszy użyłem paska do innego niż podtrzymywania spodni celu, Jola plakała razem z malcem, a zabawy w chowanego skończyły się raz na zawsze.

Na budzik nie było już jednak rady. Dzwonił głośno i coraz częściej, każda okazja była dobra. Jola poszła z dzieckiem do lekarza i nie wracała zbyt długo — dzwonił, dziecko zabawiło się u sąsiadów i przegapiło godzinę powrotu — dzwonił. Po każdym terkotaniu następował wybuch niepojętym wściekłości. Moje współzycie z Jolą nabrało cech koszmaru — awantura gonila awanturę. Naprawdę chciałem utrzymać to małżeństwo, chociażby przez wzgląd na syna, usiłowałem więc do-ciec przyczyny, znalazłem sprężynę tego przekiętego budzika. Myślałem nad tym długo, zanim nie doszedłem do wniosku, że wszystkimu jest winna nieporadność Joli. Byłem nieomal pe-wien, że jeśli samochód będzie jechał na nią, to ona poczeka, aż ją przeje-dzie, że jeśli jakaś bezporna kobieta zapragnie ukrążyć nasze dziecko, to ona palcem nie kiwnie, żeby temu zapa-biec, i tak dalej i tak dalej. Doszło wreszcie do tego, że nie mogłem spokojnie pracować, ponieważ budzik dzwonił bez przerwy. Czy wylączyła gaz? Czy nie wylała wrzącego mleka? Czy nie kapie dziecka w gotującej wodzie? Koszmar!

Zrobiłem się tak niespokojny i roz-kojarzony, że znajomi zaczęli mnie u-nikać. Nie dziwił się temu, gdyż nie można było z mną nawet porozma-wiać. To ohydne dzwonienie zagłusza-ło wszelkie inne dźwięki.

Z pewnością ktoś rozsądniejszy ode mnie poszedłby do neurologa. Ja wy-bralem inne wyjście z sytuacji i skie-rowałem do sądu pozwol przewodowy. Jola przybiegła na chwilę przed roz-poczęciem rozprawy, a zanim przyszła, cały gmach sprawiedliwości był jed-nym, wielkim dzwonem. Rzecz jasna, o pojednaniu nie mogło być mowy. Dziecko przynano, jak to zwykle by-wa, matce.

I to właściwie wszystko. Słyszałem, że Jola wyszła powtórnie za mąż. Pra-cuje, prowadzi dom, podobno bardzo dobrze dba o naszego synka i maż no-si ją na rękach. Ja nie myślę o wia-zaniu się z kimkolwiek. Wiem prze-cież doskonale, że mam w sobie bu-dzik, tyle, że nie nakręcony.

# Samotność

— Jestem sama — wyprostowała z godnością swoje drobniutkie ramiona. Byłaby podobna do porcelanowej lalki, gdyby małe dziewczynki lubiły bawić się staruszkami. — Och, mam bardzo dużo zajęć i nigdy się nie nudzę. Szczególnie zima, bo wtedy dokarmiam ptaszki. Byłaby też podobna do ptaszki, gdyby miały one zwyczaj malowania dziobków na jaskrawoczerwone kolory. Mogłabym pomylić ją z kimkolwiek, ale nigdy z nikim jej nie pomyliłam. Kiedy byłam dzieckiem, mówiłam do tej drobiny — mamu. Oczywiście, wtedy nie posiadała jeszcze tego całego bogactwa zmarszczek ani też nie miała ochoty na godzenie się z losem. Wprost przeciwnie, uważała, że rola panny z dzieckiem nie nasuje do niej i niepotrzebnie komplikuje życie. Oddała mnie na przechowanie do babci i odwiedzała nie częściej niż raz na miesiąc. — Masz obrzydliwy charakter, moja mała — mówiła z niesmakiem. — Zupelny tatuś! To wariatka — uświadamiała mnie babcia po jej odjeździe. — Udaje, że wie, kto był twoim ojcem.

Była bardzo ładna. Gdy miałam dzie-sięć lat, wyszła za mąż za jakiegoś in-żyniera, ale rozwiodła się z nim szyb-ko, pozostawiając na pamiętkę dzie-

czynkę, podobną do mnie. Tak mówi-ła. Sama też Elżuni nigdy nie widzia-ła.

Jako stosunkowo młoda kobieta, tro-chę po czterdziestce, musiała poddać się barbarzyńskiej operacji usunięcia macicy wraz z przydatkami. — No i dobrze — skomentowała babcia. — Mo-że teraz puszczać się do woli. Babcia nie długo potem zmarła. Mną zaopieko-wała się sąsiadka, która miała troje własnych dzieci i mało pieniędzy, wo-bec czego wystąpiła do sądu z żąda-niem alimentów. Alimenti mi przy-znano, ale matki nie miałam już na-wet raz na miesiąc. Bo też coś to za córka — ma na tyle obrzydliwy cha-rakter, że musi jeść!

Pokoik, zajmowany przez matkę, jest maleńki i po swojemu bardzo przytulny. Dużo haftowanych poduszek, naj-przeróżniejszych wazoników i sztucz-nych kwiatów. Kiedy tam jestem, trud-no mi oprzeć się wrażeniu, że drob-niutkiej, wymalowanej staruszce nie kojarzę się absolutnie z nikim. Często-je mnie uprzejmie herbata i, by mo-że, błogosławi za dobre serce, znajdu-jąc po zakończonej wizycie paręset zło-tych. Klade je gdzieś bądź, na stół, albo na wersale... Co miesiąc jest to taka sama suma, dokładnie odpowiada-

jąca tej, jaką przed laty wyznaczył sąd. Musiałam za te pieniądze ubrać się, najęść i wykształcić. Ona ma jesz-cze rentę.

— Tak, jestem sama — powtarza nie-pozorna, stara kobieta, zapalając pa-pierosa. Ma kłopoty z sercem i nie powinna palić. Gdy po raz któryś z rzędu usiłuję przekonać ją o koniecz-ności porzucenia nałogu, zaczyna mi się badawczo przyglądać.

— Moje dziecko — mówi w końcu zlamany głosem — czy ty wiesz, co to znaczy, że pozostały człowiekowi tylko papierosy i ptaszki? A przecież — ożywia się — w moim życiu było tyle radości, najspanialszy mężczyźni nosili mnie na rękach. I miałam — milknie, a potem kończy ze zniecho-ceniem — dwie córki. O widzisz, jak te dwa wróbelki za oknem. Nie wie-rzysz mi? Naprawdę miałam. Nosilam je pod sercem a one dorosły i zapomniały o mnie. Nigdy nie, nawet listu...

Drepeć do szafy i wyciąga album. Szuka w nim długo. Wreszcie prezen-tuje z triumfem pośłatkę zdjęcie. Takie samo, jakie stało u babci na ko-modzie. Mam na nim śmieszne warko-czyki, falbaniasta sukienka i swoim dawnym zwyczajem trzymam palec w buzi. Moje zdjęcie, moje zdjęcie! Ma-je, przechowuje, podczas gdy ja na-wet mammo nie powiedziałam do niej od tylu lat...

— Mamu — szepczę, ale ona, zapa-trzona w dziewczynkę na fotografii, nie dosłyszała. Odwraca ku mnie wil-gotne oczy.

— Prawda, że ładna? To ta młodsza, Elżunia.

## WALDEMAR CHYLIŃSKI

# WYMYŚLAŁM

Tak się jesień zaczyna  
Jak wirowanie  
Jak zlodzieja taniec  
Jak odpustowych pobrzękań urok  
Gdy nie pada deszcz  
Tak się jesień zaczyna  
Jak bicie dzwonów  
Jak po kryjomu

Na łać zapalenie świec  
Tak się jesień zaczyna  
A ja z nią się rozmijam  
Gdy za szybą stojąc wymyślałm  
Bardzo czarny śnieg  
Tak się jesień zaczyna  
Gdy wymyślałm  
ten mój wiersz

Wzruszymy się posłusznie  
Na raz  
Na dwa  
Zacniemy się śmiać  
Na trzy  
Będziemy robić miłość  
Na cztery  
Zabijac  
Na pięć  
Przed dwunastą  
Zawioz nas do szpitala  
Dla nerwowo chorych  
I obandażuj szczerline  
w obojętność.



Foto: W. Parys

EUGENIUSZ IWANICKI

# OD „JAMBOŁU” DO „POLICHNA”

Międzynarodowa trasa E-12, oznaczona na wszystkich mapach Europy zielonym kolorem i białą cyfrą, przecina niemal Polskę z południowego zachodu (Kudowa Stone) po północny wschód (Kuznica za Białymstokiem). Trasa jest mocno eksploatowana, tysiące samochodów pełnią tę niezbyt szeroką arterią dzień i noc. Ze względu na ruch, a także z uwagi na to, że przecina wiele miast i wsi i posiada ruch dwukierunkowy, na wielu jej odcinkach wprowadzono ograniczenie szybkości. Tak więc użyte wyżej słowo „pełnia” w odniesieniu do samochodów ma całkowite uzasadnienie.

Zainteresował nas odcinek znajdujący się w województwie sieradzkim i łódzkim. Ale nie chodziło nam bynajmniej o natężenie ruchu ani o ilość kołozji — choć trasa E-12 nie uchodzi za najbezpieczniejszą. Postanowiliśmy sprawdzić jak przedstawia się sprawa noclegów dla kierowców, a także co oferuje gastronomia przejeżdżającym tą trasą turystom.

Pamiętam, z jakim zadowoleniem parę lat temu przyjmowano pierwsze parkingi przy tej drodze — wyasfaltowane zatoki lub zakola — gdzie można byłoby się zatrzymać na noc, mając pewność, że zaparkowany tu samochód nie będzie stanowił zagrożenia dla innych użytkowników szosy.

A dzisiaj? Wiemy już, że to nie wystarczy, choć parkingi pod Orcho- wem i w Kolumnie są zapchane samochodami. Dziś wiemy także, że przy międzynarodowej trasie, obok stacji benzynowych, stacji napraw, muszą być motele i hotele dla kierowców i turystów. I nie jakiś tam bary czy gospody ludowe, lecz wysokiej klasy hotele i restauracje.

## „JAMBOŁ”

Jadąc od Łodzi w kierunku Wrocławia pierwszym tego typu budynkiem jest „Jambol” w Kolumnie. Jambol, to miasteczko w Bułgarii, gdzie powstaje podobny zajazd-hotel o nazwie „Sieradz”. Tak więc krzepnie przyjaźń polsko-bułgarska, trwa wymiana wiedzy gastronomicznej, krąży delegacje z północy na południe. Idea jest piękna, tylko że nasi południowi przyjaciele na pewno więcej serca włożyli w wybudowanie i zagospodarowanie swojego „Sieradza”. Polski „Jambol”, niestety, nie przynosi zaszczytu rodzimej organizacji hotelarskiej ani chluby jego budowniczym. Oto mija rok od uroczystego przecięcia wstęgi, a już

jest tu czwarty z kolei kierownik. Trudno więc wymagać, aby prowadzona w takim tempie rotacja personelu wyszła na dobre zajazdowi. Być może obecny, młody wiekiem, lecz z dobrym stażem (pracował od niedawna w łódzkiej „Europie”) Henryk Szajbier poradzi sobie z brakami i usterkami pozostawionymi przez ekipy budowlane Zakładu Inwestycji Przemysłowych z Łasku. A sprawa jest poważna, wymagająca szybkiej i zdecydowanej interwencji. W dniu, w którym odwiedziłem „Jambol”, ekipy malarskie kładły farbę na pościemniałe, z pręgami po potokach brudnej wody ściany. Nieszczęsne okna, źle osadzone ramy i futryny nie zatrzymują wody. Każdy kolejny deszcz jest nieszczęściem. Woda na korytarzach tworzy jeziora.

— Po co panowie malujecie? — pytam człowieka na drabinie. — Przecież woda i tak to zaleje. Trzeba wpiąć uszczelniać okna.

— A co mi! — odpowiada. — Każą to robić. Ja na oknach się nie znam.

— Więc gdzie tu logika?

— Robota głupiego — śmieje się ktoś obok. — Mamy zajęcie.

Pytam kierownika „Jambolu”, Henryka Szajbiera, co może powiedzieć o budynku, którego od niedawna jest administratorem.

— Nie jestem fachowcem od budownictwa, ale to, co tu zastałem, przechodzi wszelkie wyobrażenia o złej robocie — mówi, prowadząc mnie do pokoju, gdzie dosłownie przed paru godzinami zakończono kolejne malowanie ścian. — Proszę spojrzeć się łazience.

— Na pierwszy rzut oka nawet przyzwoliła...

— Jeśli nie odkręcać kranu. Dopóki jest sucho, wszystko jest w porządku. Tu nie ma waniei, są jedynie prysznicie. Żeby było śmieszniej, odpływ z brodzików został wypuszczony na zewnątrz, woda wypływa na posadzke i do kieroła stamtąd widać trafić do rur kanalizacyjnych.

— A nie trafia? — pytam.

— To byłoby zbyt proste. Proszę, wszystkie prawie kafelki na podłodze są ruchome, odpadły, bo samym piaskiem trudno cokolwiek przykleić do podłoża. Tak więc woda leci na wyłot, zalewając sufity w salach na dole, sypłwa ze ścian. Może się pan ptekonać wchodząc do kawiarni, albo na zaplecze.

— I tak zawsze?

— Oczywiście. Ale żeby było jeszcze weselej, budowniczymi niedokładnie położony płytki ceramiczne na ścianach łazienek i w czasie kąpieli tryskająca woda przecieka przez ściany boczne. Dlatego trzeba było malować wszystkie pomieszczenia hotelowe.

Okazuje się, że nie są to jedyne mankamenty pozostawione przez ekipy łaskiego Zakładu Inwestycji Przemysłowych. Kierownik, wymieniając usterki, powiedział także, że dach na budynku był już dwukrotnie zmieniany, a mimo to nadal przecieka i trzeba będzie zmieniać go po raz trzeci. Zewnętrzna kanalizacja także została przez kogoś zaprojektowana nonszalnie, gdyż, jak twierdzi Henryk Szajbier, źle usytuowano poziomy rur: rura odpływowa jest za wysoko w studzience, zatyka się, i w takiej sytuacji trzeba bardzo często opróżniać szambo (taką operację wykonuje się dwa razy w miesiącu, a koszt napełnienia jednej 4.000-litrowej beczki kosztuje 200 zł). Poważnym mankamentem jest samo usytuowanie „Jambolu”. W czasie deszczów woda z szosy E-12 sypłwa w kierunku budynku, co stwarza wrażenie, że wzorem Wenecji wybudowano ten zajazd na środku laguny.

Na zewnątrz budynek wygląda zupełnie dobrze, choć teren wokół niego przypomina kamienisty pejzaż pustynny. Frontem budynek zwrócony jest w kierunku rzeki Crabi i przysiężego zalewu, gdzie będą motorówki, kajaki i miejsca sportów wodnych. Ale połać ziemi przed oknami restauracji i balkonami jest pusta, z rzadka porośnięta skąpą trawą. Zagospodarowanie tej działki zostało

powierzone Zespołowi Szkół Rolniczych w Ostrowie. Niestety, nie można tu nic robić, bowiem teren jest zasypany resztkami cegły, cementu, i innymi materiałami budowlanymi. Tak więc należy wpiąć wywieźć stąd cały ten budowlany śmietnik, a dopiero później uczniowie z Ostrowa nawiozą na humusu i zasadzą krzewy posiej kwiaty.

Na plus „Jambolu” trzeba zaliczyć miłą obsługę, czysto urządzone pokoje gościnne, których jest trzynaście (w sumie 23 miejsca noclegowe, a dziennie zgłasza się tam ponad 50 osób) oraz kuchnię. Pokój 1-osobowy kosztuje tu w sezonie 126 zł, łóżko w pokoju 3-osobowym — 72 zł. Obok dość duży parking, co prawda nie strzeżony, ale dozorca nocny daje baczenie na stojące tam samochody.

Ponieważ „Jambol” jest restauracją nawiązującą do kuchni bułgarskiej, przeto jako specjalność zakładu jest reklamowany barszcz czerwony z pasztecikami. W dniu, w którym odwiedziłem zakład, jeszcze nie było gotowych jadłospisów. Ale w jadłospisie z dnia poprzedniego nie nie wspominało się o potrawach bułgarskich. Przeważały typowe zupy (szczawiowa z jajkiem, kapuśniak i wspomniany barszczyk) oraz znane nam skądinąd dania z kurczaków, ryb, dania jarskie i dania na zamówienie. Tak się akurat składa, że w Bułgarii spędzam co roku parę tygodni i zdążyłem jako tako poznać tamtejszą kuchnię, więc trudno mi wmówić, że golonka gotowana z musztardą oraz kotlet wieprzowy z frytkami i młodą kapustą są akurat narodowymi potrawami Bułgarów. Mójmy nadzieję, że pracownicy „Jambolu”, szkolący się aktualnie w Bułgarii, wprowadzą do tej monotonii gastronomicznej parę ciekawych potraw serwowanych w restauracjach na Nizinie Trackiej czy w Rodopach północno-wschodnich.

Ażby obraz przedstawionego zajazdu był pełny, należy wspomnieć o takiej — wydawałoby się — błażej sprawie, jaką jest reklama. Jadąc od Łodzi czy od Sieradza nigdzie nie widzi się reklam znajdujących się przy tej trasie zajazdu. Owszem, wzniesiono dwa potężne słupy z kręgów betonowych, jakich używa się powszechnie do kanalizacji, i na tym koniec. Być może, będą to fundamenty, na których w przyszłości zostanie wsparta reklama „Jambolu”. Jedno jest pewne, że do bry plasyk mógłby zaprojektować znacznie lepsze i bardziej pomysłowe tablice informacyjne. Sądzę, że Gminna Spółdzielnia w Łasku, będąca administratorem „Jambolu” zrobi wszystko, by ten ładny i gościnny budynek stał się tym, czym być powinien.

## „ZAJAZD NA PÓLBORZU”

Niemal bliźniaczym zajazdem jest inny usytuowany obok wsi Stawiszcz pod Sieradzem „Zajazd na Półborzu”, którego oficjalne otwarcie nastąpiło 1 lipca. Jest to zupełnie inny typ budynku, o drewnianym wystrój, z pokojami 2- i 8-osobowymi. Kierownikiem jest Wiesława Rudecka, a szefem gastronomii Teresa Pulaczewska, wieloletnia pracownica łódzkiej „Halki”. Gości hotelowych już jest dużo. Zdziwienie wywołuje jedynie tabliczka w recepcji, z której wynika, że za 2-osobowy pokój z łazienką w sezonie płać się 460 zł! W sumie miejsc noclegowych jest 32, a sądząc z usytuowania zajazdu oraz jego wystroju o pokoje będzie trudne.

— Czym będziecie przyjmować gości? — zapytałem szefa kuchni, 30-letniego Longina Kalbarczyka, który od 14 roku życia pracuje w gastronomii.

— Przede wszystkim kuchnią sieradzką. A więc: ciupka z grochem (kapusta kiszona, plus okrągły groszek, plus przyprawy pikantne), sałatkowa (kluski typu „kopytka”), pyrcane (kluski „żelazne” ze słoniną), zupa słowiańska (na szyneć), zrazy ludowe (z wołowiny, tzw. „zawijane”), prażki (ale w okresie, gdy będą stare ziemniaki), dynia w cieście, omlet z dynią, opiekanka z dyni z farszem mięsny, itd.

— Dlaczego akurat kuchnia sieradzka?

— Turysta z innych regionów kraju kiedy przejeżdża przez nie znane sobie okolice chce, aby poczęstowano go czymś, czego nigdy nie próbował. Tutejszy region ma kilka swoich potraw, nie spotykanych gdzie indziej. Będziemy je podawać obok zwykłych, tradycyjnych.

Przed zajazdem pracują grupy dziewcząt i chłopców, którzy przyjechali tu z Zespołu Szkół Rolniczych z Ostrowa. Rozrzucają ziemię, sadzą kwiaty i krzewy. Już teraz wygląda tu ładnie, a stojące dookoła wysokopienne lasy wywołują nastrój spokoju i ciszy.

— Ze tak tu wygląda — mówi Teresa Pulaczewska — jest zasługa wiewiórowy sieradzkiego. Właściwie nie ma tu kamienia, drzewka, czy roślinki, której nie obejrzal, nie ma deski, której nie spraw-

dził. Nie, to nie laurka, ten człowiek włożył serce, aby zajazd prezentował się jak najlepiej. W niedługim czasie będziemy mieli tu własny basen i kort tenisowy.

— A cich nie przecieka? — pytam nagle, pamiętając o swjej wycieczce w „Jambule”.

— Skądże! — odpowiadają chórem zebrane panie. — Nawet w największą głowę nic tu nie przecieka, chyba, że ktoś zostawi otwarte na oścież okno.

No tak, ale ten budynek wznosił zupełnie kto inny i gospodarzy nim Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji w Sieradzu.

## „POLICHNO”

Obraz bazy noclegowo-hotelowej na ziemi związanej ścisłymi więzami z województwem miejskim łódzkim byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o oddanym do użytku motelu „Polichno”, usytuowanym przy trasie E-82, wiodącej z Piotrkowa do Warszawy. Oczywiście, o tym kolosie, pięknym i funkcjonalnym, można pisać w samych superlatywach. Już sam dojazd nastawia optymistycznie: osobne parkingi dla samochodów ciężarowych i osobowych. Okazała, smukła sylwetka motelu, wkomponowana w ciemną zieleni lasu, przyciąga, obiecując solidny odpoczynek i strawę. W 43 pokojach jest 89 miejsc hotelowych, a cena 2-osobowej w sezonie kosztuje zaledwie 200 zł, w restauracji mieści się 90 osób, w kawiarni — 60, w barze szybkiej obsługi — 40 (bar wydaje dziennie około 800 posiłków). Ale jeśli większa grupa lub wycieczka zechce zjeść kolację poza budynkiem — proszę bardzo! W odległości około półtora kilometra od motelu, w lesie, wybudowano specjalną wiatę, a pod nią stół z desek oraz ławy dla 45 osób. Jest tam miejsce na ognisko, potężne kłocce zastępują wygodne fotele, jedzenie dostarcza się w pojemnikach, a kiełbaski można samemu opiekac nad ogniem.

Wszystko tu jest nowe: większość kadry, tej podstawowej, rekrutuje się z okolicznych wsi i w hotelu pracuje po raz pierwszy. A więc wszyscy się uczą. Kierownik, Wojciech Skupiński, przyszedł z Łodzi, wiele lat pracował w tego typu przedsiębiorstwach.

— Człowiek, który się tu zatrzyma — mówi — powinien wynieść jak najlepsze wspomnienia. Musi o nas pamiętać i przy każdej sposobności tu powracać. Dopiero się uczymy co i jak. Ale personel przejawia wiele dobrych cech. Naszym gościom zapewniamy jeszcze jedną możliwość: o ile, jeśli ktoś zechce otrzymać miejsce w którymkolwiek z warszawskich hoteli, możemy mu to zagwarantować. Czynimy starania, by można było przez nas otrzymać także miejsca w hotelach krakowskich i kieleckich. Sądzę, że się nam to uda. Nie, nie są to żadne cuda, a zwyczajna współpraca między hotelami.

— Czym motel „Polichno” przypomni swoich gości?

— Nasze menu jest urozmaicone. Nie ma sensu wspominać o potrawach popularnych, serwowanych przez większość restauracji i barów w Polsce. Z ciekawości w dzisiejszym jadłospisie proponujemy: zając w śmietanie, kuropatwę w śmietanie, strąga z wedy oraz kotlety z dzika...

— Kto zrobił wnętrza sal?

— Zakłady Wytwórcze Sprzętu Rolniczego z Tomaszowa Mazowieckiego. Zrobili to bardzo dobrze i w terminie.

— A meble?

— Krzesła z Radomska, resztę sprawadziliśmy z innych firm. Ale w sumie tworzą całość.

To, co rzuci się w oczy po wejściu do motelu, to kwiaty. Jest ich dużo, na wszystkich piętrach, korytarzach i w hallach. Przed motelem — parkingi. Ponad hektar ziemi pokryto betonem, wydzielono stanowiska, ustawiono oświetlenie. Jednakże nie jest to pusty, betonowy plac. Dużo tu kwietników, drzew. Wydzielono nawet miejsce pod drzewami dla posiłków, jeśli ktoś nie chce siedzieć w barze, może spożyć obiad na świętych piach, w cieniu gęstych drzew.

Skoro mowa o zmotoryzowanych, warto wspomnieć, że motel posiada własną myjnię samochodów, kompresor do pompowania kół, a także punkt smarowniczy. Dla zagranicznych turystów, a byli tu już Amerykanie, Francuzi, Anglicy, Jugosłowianie — jest kasa wymiany walut, a wkrótce zostanie otwarty sklep „Pewozu”.

Jadąc od strony Piotrkowa, na 9 kilometrze, tuż przed motelem, trwa budowa wielkiej stacji CPN. Tymczasem ustawiono tu ruchomy punkt sprzedaży paliw, olejów i smarów. Tak więc zmotoryzowany turysta ma prawie wszystko, co mu potrzebne w czasie długiej drogi. A tuż obok, wspaniały las, kompleks chłodnej zieleni oraz Muzeum Czynu Partyzanckiego, obok którego widziałem wielu cudzoziemców, którzy usiłowali odczytać polskie tablice.

# Listy do Redakcji

## DWIE GODZINY DO ŚRÓDMIEŚCIA

Odpowiedź Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego:

W związku z artykułem A. Makowieckiego w nr 21 tygodnika „Odgłosy” z 21 maja 1973 r. pt.: „Dwie godziny do śródmieścia” uprzejmie wyjaśniamy, co następuje:

Powstawanie nowych dzielnic mieszkaniowych z dala od starego, klasycznego i zgiełkowego centrum miasta jest konsekwencją postępującej szybko w ostatnich latach rozbudowy miasta. Nowe koncentracje mieszkaniowe, a także przemysłowe, lokalizowane są na wolnych terenach peryferyjnych. Podróże mieszkańców ulegają oczywiście wskutek tego przedłużeniu, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie.

MPK prowadzi dla swoich potrzeb badania ruchu pasażerów, z których wynika m. in., że z powodu zmian przestrzennych w zamieszaniu i miejscach pracy tylko między rokiem 1972 i 1976 średnio statystyczny pasażer jedzie tramwajem lub autobusem o 400 metrów dalej. Wydłużenie drogi podróży pasażerów tworzy przedsiębiorstwu dodatkowe, trudne zadania przewozowe, pasażerom natomiast wydłuża czas przejazdu środkami komunikacji miejskiej. Dlatego też zgadzamy się z wypowiedziami mieszkańców osiedli sytowanych w artykule, że komunikacja zbiorowa z osiedli powinna być sprawna i w odpowiednim czasie do rozbudowy osiedla uruchamiana. Aktualnie w budowie znajduje się ul. Marchlewskiego. Ten inwestycji komunikacyjnej towarzyszy budowa trasy tramwajowej. Termin uruchomienia tramwaju do ul. Allende jest jednak uzależniony od postępu robót inwestycji podstawowej, czyli drogi, a termin zakończenia tej inwestycji był przewidziany przez generalnego wykonawcę. Ostatnio uzgodniono z KRZ, że uruchomienie komunikacji tramwajowej ul. Marchlewskiego nastąpi nieodwołalnie 3 lipca 1973 r.

Komunikacja autobusowa, która z reguły dzisiaj zastępuje, do czasu wybudowania linii tramwajowej, jest niesłychanie uruchamiana najczęściej w warunkach dla niej nie przystosowanych, na jezdniach nie ukończonych, na pętlach prowizorycznych. Jakość komunikacji w takich warunkach istotnie nie może być najlepsza. Problem ten występuje, jak się orientujemy, nie tylko w naszym mieście.

Z inicjatyw przedsiębiorstwa w styczniu br. odbyła się w Łodzi Sesja Zarządu Głównego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji. Wielu wybitnych naukowców z dziedziny komunikacji stwierdziło, że komunikacja miejska winna stanowić w osiedlu element jego uzbrojenia, a nie drugoplanową usługę dla jego mieszkańców. Przykładem prowizoryczności doprowadzonej komunikacji może być opisany wypadek z przystankiem autobusowym na ul. Marchlewskiego. Przystanek ten służył dla autobusów kursujących ul. Allende i nie był przytwierdzony do gruntu. Pewnej nocy posłużył do zabawy swawolniejszym mieszkańcom i został przeniesiony w miejsce, gdzie autobusy nie kursują. Przystanku tego zresztą nie odzyskaliśmy.

Krytyczne wypowiedzi mieszkańców osiedla, dotyczące czasu zużywanego na przejazd komunikacją miejską, uważamy jednak za przesadzone i nieścisłe. Czas przejazdu z najbliższego przystanku komunikacji miejskiej w osiedlu Retkinia do Dworca Kaliskiego wynosi aktualnie autobusem 16 minut, a do centrum miasta (al. Kościuski) — 24 minuty. Oczywiście do odległych dzielnic podróz będzie trwała dłużej, obecny jednak układ linii autobusowych wydaje się być dla mieszkańców korzystny, gdyż np.:

- linia 69 zapewnia bezpośrednie połączenie osiedla z innymi dzielnicami i ogólnym przemysłem na Dąbrowie w 30 minut;
- linia 76 łączy osiedle z dzielnicą Teofilów w ciągu 31 minut.

Trasy obywateli linii omijają zatłoczone ulice śródmieścia.

Jesteśmy przekonani, że doprowadzenia czterech linii tramwajowych ul. Marchlewskiego do ul. Allende usprawni jeszcze komunikację do centralnych rejonów miasta.

Zastępca dyrektora d.s. eksploatacji — inż. Józef Korkosiński.

## Odpowiedź Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej:

W nawiązaniu do artykułu pt.: „Dwie godziny do śródmieścia”, zamieszczonego w nr 21 dnia 21 maja 1973 r. tygodnika „Odgłosy” Zakład Projektowania i Usług Inwestycyjnych „Inwestprojekt” Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, będący inwestorem osiedla Retkinia, podaje następujące wyjaśnienia:

1. Wielkość dzielnicy mieszkaniowej Retkinia ustalona została na poziomie 70 tysięcy mieszkańców i składa się z następujących osiedli: Retkinia Wschód (Zagrodniki i Piasek) — 23.000 mieszkańców; Retkinia Zachód Półn. — 13.800 mieszkańców; Retkinia Zachód Półd. — 18.000 mieszkańców; Retkinia Hufcowa — 3.500 mieszkańców; Retkinia Śródmieście — 12.000 mieszkańców.

Projektowana pierwotnie liczba mieszkań ulegała zmniejszeniu w wyniku rezygnacji z budownictwa wielorodzinnego w osiedlu Pienista i przeznaczeniu go pod budownictwo jednorodzinne. Obecnie do zrealizowania pozostało zakończenie programu mieszkaniowego w osiedlu Retkinia Zachód Półn. — do końca 1973 r. i osiedla Retkinia Śródmieście, gdzie w roku bieżącym rozpoczęto uzbrojenie terenu.

2. Program dzielnicy mieszkaniowej przewiduje pełne насыcenie we wszystkie usługi zgodnie z nowym normatywnym urbanistycznym, obowiązującym od stycznia 1974 r. mimo że opracowania projektowe rozpoczęte były przed wejściem w życie tego normatywu. Pełne zrealizowanie przyjętego programu stworzy mieszkańcom dzielnicy warunki właściwego bytowania. Na obecnym etapie realizacji dzielnicy można mieć nadzieję na kompleksowość, trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że realizacja ta uzależniona jest od posiadanej potencjału wykonawczego Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Zachód”. Istnieje wprawdzie formalny obowiązek realizowania przez przedsiębiorstwa resortu budownictwa równoległe z programem mieszkaniowym oddzielnie zakresu budownictwa towarzyszącego, lecz Łódzki Kombinat Budowlany „Zachód”, będący generalnym wykonawcą osiedla, z uwagi na ograniczony potencjał produkcyjny przyżmnie do wykonawstwa roboty wynikające z jego aktualnych możliwości, Spółdzielczość mieszkaniowa dla zmniejszenia niedoboru usług w osiedlu, urządza je w lokalach zastępczych, przeznaczając na ten cel mieszkania w parterach budynków mieszkalnych.

3. W odniesieniu do osiedla Retkinia Zachód najbardziej dotkliwa sprawa jest brak szkół. W roku 1979 przewiduje się oddanie do użytku dwóch szkół, będących obecnie w budowie, tj. jednej w części południowej oraz drugiej w części północnej.

4. Komunikacja osiedla z miastem ulegnie poprawie z chwilą uruchomienia linii tramwajowej przeprowadzonej do końca dzielnicy, wzdłuż ulicy Marchlewskiego. Według informacji uzyskanych w MPK uruchomienie tej linii nastąpi w lipcu br.

5. Niedobór oświetlenia dróg osiedlowych jest rezultatem ograniczonych dostaw kabli energetycznych. Aktualnie opracowany został harmonogram uruchomienia oświetlenia według którego zasadnicze oświetlenie wykonane będzie w roku bieżącym, natomiast niektóre elementy oświetlenia dróg dopiero w 1979 roku.

6. ZPUM „Inwestprojekt” WSM opracował ponadto harmonogram porządkowania osiedli w zakresie dróg wewnętrznych, zieleni i małej architektury, przewidując zakończenie tych robót w 1978 roku.

7. Tryb postępowania w zakresie usuwania występujących w budynkach wad w okresie rękomi, uregulowany jest porozumieniem zawartym, między RSM „Pollesie” a wykonawcą — Łódzkim Kombinatem Budowlanym „Zachód” na podstawie Zarządzenia Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych z dnia 8 kwietnia 1974 roku. Z porozumienia tego wynika, że podczas zasiedlania budynków administracja szczegółowo informuje o sposobie zgłaszania wad wynikłych w trakcie użytkowania zaś zgłoszenia ustne lub pisemne stwierdzonych wad przyjmują dział kontroli jakości i odbiorów RSM „Pollesie”. Niezależnie od tego dokonywane są okresowe przeglądy zasiedlonych budynków z udziałem przedstawicieli wykonawcy i spółdzielni. Podczas przeglądu budynku nr 267 30 marca 1978 roku w lokalu nr 31, mieszkańca tego lokalu obywatela Henryka Kmiećka nie zastano. Usterki z tego mieszkania zgłaszała obecna w nim Obywatelka Barbara Białucha. Po spisaniu podanych wad obywatelka nie wniosła zastrzeżeń do treści spisanej protokołu i zgodność z opinią komisji potwierdziła własnoręcznym podpisem. W protokole naniesiono informację z kim należy uzgodnić zgodny dla lokatora termin z podaniem adresu i nr telefonu oraz terminu likwidacji wad.

8. Zagadnienia związane ze zmniejszeniem ilości usterek są przedmiotem stałej troski ze strony inwestora. Odbywa się to poprzez stałe oddziaływanie przez służby kontroli jakości i odpowiednie egzekwowanie od wykonawców robót, wymagań w tym zakresie.

W ostatnim okresie zaostroszone zostały także kryteria jakościowe przy odbiorach ostatecznych budynków mieszkalnych. Ponadto duży nacisk położony został na zagadnienie ulepszenia funkcji mieszkań i poprawnego rozwiązania urbanistyki na etapie projektowania. Sadzimy, że podjęte działania pozwolą na stopniowe polepszenie jakości oddawanych do użytku mieszkań.

Podając powyższe wyjaśnienia, uważamy, że większość problemów poruszonych w artykule będzie w bieżącym roku zlikwidowana.

mgr inż. Kazimierz Kruciński — z-ca prezesa Zarządu WSM

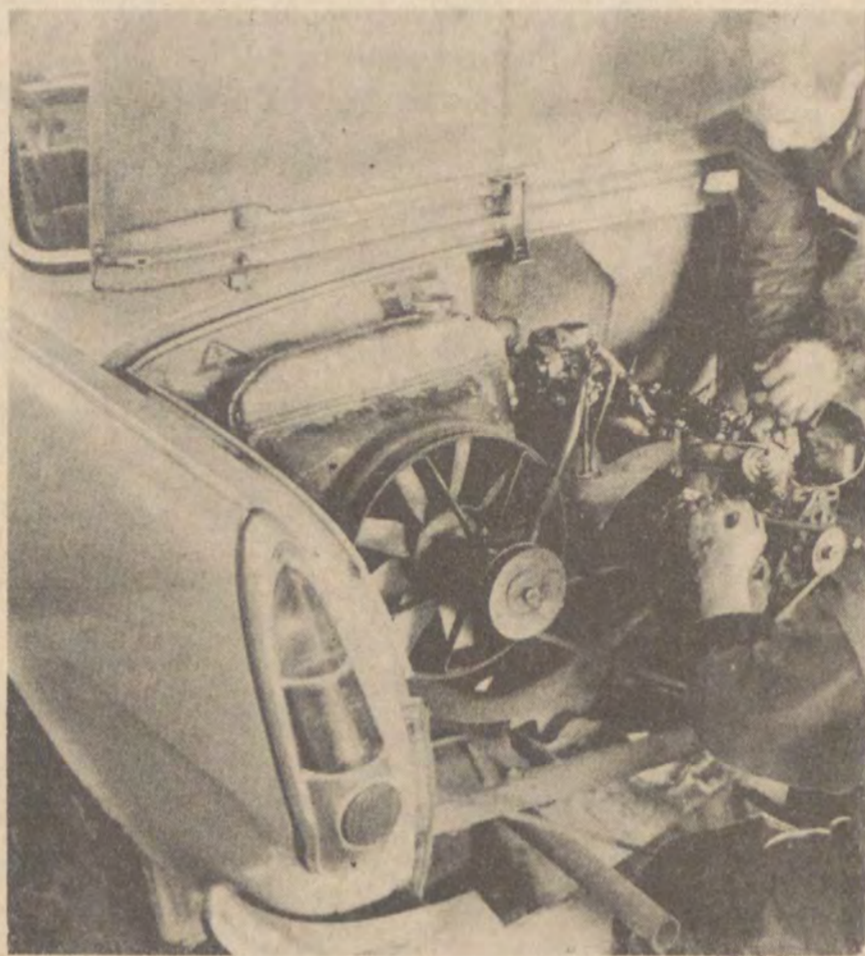


Foto: W. Parys

## AGNIESZKA OSTAPOWICZ

# NIEDŹWIEDZIA USŁUGA

— Najlepszy w Polsce? — zdziwił się taksówkarz. — Co też pani mówi? A który to „Polmozyt”? Przy Melgiewskiej czy Męczenników Majdanka?

I ot, bomba pękła, albowiem sprawa stała się zupełnie niejasna. Jazda do Lublina, żeby obejrzeć najlepszy „Polmozyt” w kraju, o istnieniu dwóch takich firm w tym mieście, nie wiedziałam. Na miejscu dowiedziałam się, że „Polmozyt” ma tu dwa, odrębne przedsiębiorstwa. — „Polmozyt” — działający w makroregionie środkowo-wschodnim oraz Przedsiębiorstwo Obrót Samochodami i Częściami Samochodowymi, ogólnokrajowego hurtownika, specjalizującego się w częściach dla rodziny „Flata” i warszawopodobnych, sprzedającego również „Zuki”, „Nysy”, „Flaty-sanitarkę” oraz „Lady”. Zadzwońlam najpierw do „normalnego” wojewódzkiego „Polmozytu”. Skromność zaiste rzadka: To nie my, tacyśmy dobzy — oznajmiono mi — to koledy.

Trzeba tedy do kolegów zasięgnąć sprawy naturalnie uprzednio języka.

Taksówkarz II: — Na Melgiewskiej? Pani pewnie po odbiór samochodu. Dewizowym to dobrze! Bo jeśli po „malucha”, to nie tam. A jeżeli po „Ladę”, to odbiór nie będzie trwał długo. Przeglądź raz dwa, umyja wóz naftą pod ciśnieniem, hotel w czasie oczekiwania załatwia, informacja udziała i jeszcze pomachają — „pa, pa” — szczęśliwej drogi na pożegnanie. Wóz tam ludzi, czekam na nich, słucham co mówią. Niejednemu klient twierdził, że nigdzie części nie mógł dostać, a tam kupił. Tylko jak on to zrobił? Bo oni indywidualnie nie sprzedają...

Szybka, sprawna sprzedaż nowych i czystych samochodów — rzecz ważna. Jeśli w dodatku po kilku kilometrach się nie popsują. Ale przynam, że poczułam się nieco zawiedziona. Marzył mi się znakomity „Polmozyt”, ze wspinałymi stacjami obsługi. Jeśli bowiem rozmawia się o motoryzacji w Polsce, to zawsze koniec końców na kwestię napraw jeździe. Osobiście jestem zdania, że piszący o usługach — zwłaszcza motoryzacyjnych — na chleb nie zarobi. Nie kryłam więc uczuć mieszanych, gdy do Lublina pojechać mi przyszło.

Tych mieszanych uczuć nie rozwiał widok nowoczesnych magazynów tutejszego POSiCz. Choć mogłabym niejednemu zaimponować. Wybudowane przed 6 laty kosztem 200 mln zł stanowią kompletny jakiegoś długo u nas nie było. Dopiero teraz buduje się podobne w Poznaniu i Toruniu. Część zgromadzoną tu na powierzchni 10 tys. metrów kwadra-

towych, na wysokości 11 metrów. Podzielono je na strefy, regały, piętra i pion. Dostać się do nich można jedynie przy pomocy automatycznie sterowanych wózków suwnic „Fata”. W regale mieści się 31 tys. przegródek na części, a takich regałów jest trzydzieści. Skomplikowany system pobierania, pakowania, plombowania części po uprzednim zbadaniu ich jakości, powinien zapobiegać wydatkowaniu się z hurtowni złych elementów. A jednak skryżnie biegiów z pokrywami dla „malucha” ciekawa w co drugim przypadku — że tym pierwszym z brzęgu przykładem się posłuży. Przy tak skomplikowanym systemie wysyłania (karty informacyjne, metryczki, podpisy, komisje) części ginać również nie powinny. Nie wnikać w przyczyny, rzecz jednak się zdarza — co mi nawet wspaniałomyślnie w POSiCz przyznano. Co dzień z tych magazynów wysyłane są w Polskę części za 15 mln zł. Plan, co roku wyższy, naturalnie jest realizowany. W sali konferencyjnej za gabinetem dyrektora wiszą rzędem dyplomy za III, I, II, znowu I miejsca zdobywane przez przedsiębiorstwo w ramach współzawodnictwa zakładów Centrali Techniczno-Handlowej „Polmozyt”.

Czyli wszystko gra. Mimo to nie zdziwiłam się wcale, gdy usłyszałam co zmotoryzowani lublinianie — oraz pracownicy stacji obsługi o tej instytucji sądzi. Na pierwszy rzut oka nie wtajemniczonemu wydawałby się mogło, że skoro Lublin ma u siebie ogólnokrajowego hurtownika częściami, to przynajmniej z tą sprawą powinno być tutaj lepiej niż w innych regionach. Spróbujcie przejechać się po tutejszych sklepach i stacjach obsługi...

— Producent nie wytwarza tyle, ile należałoby, więc brakuje — odpowiesz mi tu jak w każdym sklepie w kraju. Słmiem jednak twierdzić, że gdyby dystrybucja istniejących części była lepsza, kłopoty stałyby się nieco mniejsze. Jeśli jednak stacja obsługi zamawia 3 sprężyny zaworu zwrotnego pompy olejowej, a lubelski POSiCz — owszem, sprzedaje jej, ale całe opakowanie z 50 sprężynami, to jasne, że w pozostałych stacjach ich zabraknie. Zaradni kierownicy dzielą się ze sobą — na zasadzie wymiennej: „Ja tobie to, ty mnie tamto czego masz za wiele”. I niby wszystko dobrze. A że samochody kursują od stacji do stacji po dwie uszczelki i jeden palnik...

Do niedawna stacje obsługi musiały zamawiać części — tak, to nie żarty — na miesiąc przed rozpoczęciem kwartału. Wiele hałasu „o nic” sprawę ruszyło. Zaczęto stosować zamówienia doraźne. Tyle, że z pewną poprawką... Jakże argumenty nie do odrzucenia działają, dociec trudno. Ale zasada „bliższa koszuła ciału” — obowiązuje. Samochody czekają więc tygodniami, bo nawet zaprzyjaźnione stacje wszystkim nie pomogą. A do prywatnych zakładów zwracać się nie ma po co.

Znajomy mieszkaniec Lublina, na stanowisku, a więc z samochodem i znajomością w sferach dyrektorsko-kierowniczych „Polmozytu” złapał się za głowę, kiedy obwieściłam mu o czym mam pisać.

— Zwirowałaś! Nie mogłaś wymyślić innego tematu? Chcesz wybić się do kilku stacji. Sama zobaczysz, o której byś godzinie nie poszła, zawsze „portfel zamówień” będzie zamknięty. Są niezastąpieni, bo jedyni. Strach im zostawić samochód. Jeśli oddasz do przeglądu wóz ze sprawnym gaźnikiem, to może już nie być sprawny. Nie będziesz cały czas tam siedzieć, a skąd wiesz, czy nie podmienił? Albo czy akumulator choć nowy nie „stał się” przypadkiem stary. W zesłym tygodniu zmieniłem w moim „Flacie” olej. Po kilku dniach sprawdziłem na stacji PZMot, — czarny... Dodaj do tego jeszcze zwyczaj sprzedawania przez stacje części zamiennych z robocizną. Nie skorzystaś z usługi, naprawę wykonasz samodzielnie. Zrobisz tak, bo w sklepie części brak, a w stacji jeszcze robotę sfuszują. Nie wieszysz? Spróbuj kupić w sklepie Hók do „Sireny” za 95 zł polskich. Nie ma. W prywatnym, owszem jest, po oficjalnej cenie (620 zł). Inna sprawa — że szybko okaże się do niego, ale to już rzecz nie sprzedawcy...

Ja nieszczęśna! — myślę sobie. Znajomy wskoczył na ulubione konia i będzie tak czarno widział do sądnego dnia. Nie dowierzałam mu lecz cóż, podobnie sądzi wiele osób w Lublinie. Po mieście krąży taka legenda. Jeden z tutejszych rzemieślników prowadzi prywatny warsztat samochodowy, spełniający w zasadzie warunki uzyskania autoryzacji na jedną z marek. Powiedziało mu jednak, że o przyznaniu części o wartości ponad 700 zł na wymianę gwarancyjną decyduje zbierająca się co pewien czas komisja „Polmozytu”... Zrezygnował zatem z autoryzacji. Gdyby zaś chciał przechowywać u siebie samochody czekające na komisję musiałby mieć... kilkukwartowy parking. Żeby zaś nie zginać wśród pisemek i całej biurokratycznej bagrzaniny winien zatrudnić księgowego, dwu urzędników i zapatrzniowca. Toteż choć nie brak w lubelskiej prasie artykułów o preferencjach dla rzemiosła żaden prywatny zakład samochodowy nie ma tutaj autoryzacji na jakąkolwiek markę. Gdyby nawet miał, to i tak POSiCz części mu nie sprzeda. Prywatnemu rzemieślnikowi? — spojrzano na mnie w tej instytucji z nieukrywaniem zdumieniem. Co też tym dziennikarzem do głowy nie przyjdzie...

W wojewódzkim „Polmozycie” wydziewano podobnie na moje pytania o przyznaniu autoryzacji zakładom rzemieślniczym.

— Przecież tam nikt porządnie nie sprawdził i nie dokrecił przy pomocy klucza dynamometrycznego kilku-nastu śrub, nie zrobił analizy składu spalin, nie sprawdził układu hamulcowego, nie zastosuje pokrowców ochronnych na błotniki i siedzenia — ARGUMENTOWANO.

Ejże, ejże... Pracownicy stacji przy ulicach Wojciechowskiej, Prusa, Przemysłowej, gdyby ich o to poprosić, szybko powiedzą co o tym myślą.

— Analiza składu spalin i pokrowce! Też coś. — Wymowny gest w okolicy czola poparty słownym komentarzem posłuży za wyjaśnienie.

Co tu zresztą takie sprawy wyciągać, gdy w jednej z największych stacji w Lublinie brak najprostszego przyrządu do zbadania regulatora napięcia. Nie ma też kluczy — pojedynczych, oczywiście. Całe komplety bywają, lecz zdobyć jeden, senne marzenie. Ze mechanicy nawzajem je sobie od kolegów „pożyczają” — nikogo nie dziwi. A przecież w gestii POSiCz jest również sprzedaż wyposażenia dla stacji obsługi. Widocznie jednak w ramach wojewódzkich układów nie tak łatwo się dogadać.

Pierwszy w kraju „Polmozyt” okazał się nie taki znowu pierwszy, nawet na tutejszym lubelskim podwórku. Rany boskie! Nie podważam przecież ich pierwszego miejsca we współzawodnictwie, o którym decydują wskaźniki, tylko piszę o tym, jak pracują i co sądzą o tym klienci. Klienci nie mogą sądzić najlepiej o instytucji, w której kupno głupiej uszczelki załatwia się na szezeblu kierowniczym, a dyrektor opowiada dziennikarzowi z satysfakcją, że „sam nawet sekretarz komitetu pyta czy może przyjść”.

— Po co pani o nas chce pisać — spytało mnie. Jakby sądził, że moje pisanie przypomni im nieobce metody działania, czyli, że stanie się niedźwiedzią usługą.

# BEZSILNOŚĆ WOBEC FORMY

— „Nie czytam młodej literatury. Z zasady” — powiada jeden z bohaterów najnowszej powieści Marka Soltyśka. W stwierdzeniu tym, pojawiającym się notabene w podobnej otoczce w kilku różnych utworach młodych prozaików, brzmiała nuta przekornej kpiny ze zwyczajowego niedocenywania młodych autorów, dzisiejszych czy wczorajszych debiutantów. Soltyśki wykiwa ów pokutujący w naszym życiu literackim (czy zupełnie nie bez racji?) schemat niedocenywania debiutantów bądź też tylko nieufnego ich przyjmowania przez krytykę i czytelników, wykiwa z pozycji świadomości własnych ambicji zamierzeń twórczych. Sytuacja jest ona w godnej tradycji naszej literatury, wyznaczonej przez drwinę i groteskę, przenikliwość spojżenia i gromki, choć jednocześnie gorzki, śmiech z nas samych. Gdyby dla lepszego uświadomienia twórczości Marka Soltyśka w naszej literackiej tradycji przyszło mi wymienić chociaż jedno nazwisko, bez wahania, ale z dodatkami: toutes proportions gardées wymienilibym Gołbiewicza. Bo rzeczka, która najbardziej Soltyśkę interesuje, denerwuje i prowokuje jest forma. Jak to się dzieje — zda się pytać w „Sztucznych ruinach” — że wszystko przeradza się w formę, albo bezcelnie i wulgarnie, albo w sposób zupełnie niepostrzeżony? Forma nas pochłania. Jesteśmy wspaniałymi świadkami i próbujemy buntować się. Ale nawet „bunt, najkiepsze, pierwszy, powiedziałbym bunt (...) wyrodniej: przeradza się w formę, formki i formiatka bunt zastępują; są one głupie, z buntem nie mają kompletnie nic wspólnego, a wyrażają się knowaniem wstępnego intrzyg, wymyślaniem coraz to nowych tak zwanych kawałów, rzekomych zadowoleniem z życia. Wyrządzaniem wzajemnych krzywd, stopniowym nadgryzaniem gąszi indywidualności...”

Absurd, nonsens, nuda... To najtrafniejsze bez wątpliwości słowa — klucze ułatwiające zrozumienie rzeczywistości przedstawionej „Sztucznych ruin” rzeczywistości bardzo pogmatwanej, odzwierciedlającej brak jednolitych zasad w postępowaniu bohaterów, łączącej demotywację z trywialnością. W Omdaniach (kojarzących się z omdaniem) — symbolicznej miejscowości, w której rozgrywa się akcja powieści, niemal wszystko „łazi dupą do góry”. Stwierdzenie dosadnie, lecz doskonale oddaje ono klimat „Sztucznych ruin”. Wszystko bowiem się miesza mieszają się noty, wacje, zasady sprawcze, czas istnieje i nie istnieje zarazem, przestrzeń nie jest do końca ukształtowana, estetyczni towarzyszy wulgarności itd. W takich otępieniach chaosu działają bohaterowie tej prozy, za każdym razem określani dziwnymi, wymyślnymi nazwiskami. Cechy te zbliżają prozę Soltyśka do surrealizmu. Niektóre „tużące” w powieści są nawet zupełnie pozabawione motywacji, zaskakujące, wręcz — z punktu widzenia zdrowego czynnika — rozsądkiem — niedorzeczne. Jest to jednak zabieg świadomy i celowy: służy wydobyciu absurdalności formy.

Ubiegłoroczny debiut Marka Soltyśka „Domiar złego” był utworem ze świata sztuki, „Sztuczne ruiny” kontynuują te zainteresowania, lecz mniej na ich kartach artystów. Autora po części bowiem tylko interesuje forma w sztuce w stopniu nieporównywalnie większym tropi przenoszenie się formy w życie. W życiu prywatnym i zawodowym. Tak dalece zafascynowała go jednak forma, że sam nieśwety (a może programowo?) jej uległ...

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Mark Soltyśki, Sztuczne ruiny. Czytelnik, Warszawa 1978, nakład 10 230 egz., s. 309, cena zł 35.

# PIASKI USUWAJĄCE SIĘ SPOD NÓG

Nadany ostatnio przez Zespół Łódzkiej Telewizji Polskiej spektakl „Ruchome piaski” Piotra Choynowskiego skłania mnie do skreślenia kilku uwag na temat udziału regionalnych ośrodków telewizyjnych w budowaniu teatru Tv, a zwłaszcza jego reprezentacyjnej sceny — teatru poniedziałkowego.

Nie będzie egzageracją z mojej strony, jeśli stwierdzę, że w artystycznych programach telewizyjnych dominacja środowiska warszawskiego jest zdecydowana. Z pewną poprawką na Kraków — ośrodki regionalne jako producenci telewizyjnych programów teatralnych właściwie się nie liczą. Ten stan rzeczy jest wynikiem nie tylko większej koncentracji dobrych aktorów i reżyserów w stolicy, lecz także prowadzoną od lat polityką programową, która polega na konsekwentnym utracaniu „prowincjonalnych” inicjatyw i stałym ogra-

niczaniu ambitnych prób ośrodków regionalnych wychodzenia na antenę programami teatralnymi.

Mówię o próbach ambitnych, gdyż przy brakach w wyposażeniu studiów pozawarszawskich trzeba wiele ambicji i pomysłowości, by przedrzeć się przez przeszkody natury technicznej. Te trudności, piętrzące się i nie przazwyczajne od lat, powodują chyba, że ludziami „przestaje się chcieć”. Z nostalgii wspomnieć można czasy, gdy i nasz łódzki ośrodek czynnie partycytował, a nawet przodował w dziedzinie teatru telewizyjnego.

Tradycyjne lato, czas kanikuły i zmniejszenia zainteresowania telewizją, stwarza większe szanse prowincji przebić się na ekrany. Okres urlopowy przetrzebia stołeczne ekipy realizatorskie, stąd większa tolerancja w dopuszczaniu programów teatralnych przygotowanych przez zespoły regionalne. Z szansy tej te ostat-

nie skwapliwie korzystają. Na tej zasadzie trafiło na szklane ekrany widowisko „Ruchome piaski”, przygotowane w zakresie reżyserkim i aktorskim przez zespół Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu.

W słowie wstępnym poprzedzającym spektakl zwrócono uwagę na fakt, że telewizja stwarza właśnie możliwość prezentowania widzom z całym krajem aktorów z mniejszych ośrodków, może nawet wylansowania zapożyczonych talentów. Rzeczony zespół aktorów toruńskich wskazywał na to, jak bardzo cenią oni sobie tę rzadką dla siebie szansę.

Teoretycznie więc próbę tego rodzaju powitać należy z uznaniem, doceniając jej znaczenie dla naturalnego zdawaloby się krwiobieg, jakiego zapewnić mogą łącza telewizyjne. Uważniejsze jednak przyjrzenie się zagadnieniu nasuwa mniej optymistyczne refleksje. Zaczyna się od tego, że aktorzy toruńscy wypadli, poza nielicznymi może wyjątkami (Grażyna Leśniak, Marek Jasiński, Grażyna Korskow) żenująco słabo. Dostarczyli więc łatwych argumentów rzecznikom centralizacji programów teatralnych, że nie należy oczekiwać żadnych rewelacji w emisjach pozawarszawskich. Z satysfakcją zacierającą mogą omy rzecznicy ręce i mówić: — Daliśmy wam szansę i jak ją wykorzystaliście?

I nikt zapewne nie zechce wziąć poprawki na to, że aktorzy prowincjonalni są telewizyjnie nieobecni, że dopuszczeni raz wreszcie przez kamery chcieli z miejsca dorównać swoim warszawskim kolegom. Próbowali więc „iść na całość”, dać z sie-

bie to na co ich tylko stać, a przede wszystkim utrafić w modę, w obowiązującą konwencję. A zatem w miejsce autentyczności, naturalności, uwypuklenia własnej osobowości, mieliśmy do czynienia z zadaniem, pozą, manierą czy wreszcie nąladownictwem sprawdzonych wzorów.

Dalo to, jak już się powiedziało, rezultat opłakany. W mocno podstarzałym tekście Choynowskiego położono główny akcent na to, co należałoby właśnie stuszczać: na melodramat. Melodramatyczność było w tym przedstawieniu zbyt wiele, jak na grę na serio, zbyt mało jak na pastisz. Czyniło to tekst chwilaми nie do słuchania.

Zespół realizatorski Telewizji Łódzkiej, który widowisko toruńskie w reżyserii Marka Okopińskiego zarejestrował, w dużej części pamięta jeszcze czasy, w których łódzkie produkcje teatralne cieszyły się dobrą sławą. Żał to napisać, ale chyba tym razem służyli ziej sprawie, co utwór widzi mógł dostrzec w kształcie realizatorskim widowska.

Nie poskapiwszy tych gorzkich słów przedstawieniu, pełen jestem jednocześnie mieszanych uczuć. Wiem, że Łódzki Ośrodek Telewizyjny stał na dobrej robocie antenową. Zgadzasz się, że powinno się poszerzać poza Warszawę krąg budowniczych programów teatralnych. A jednocześnie nie mogę zwalczyć głębokiego przekonania, że takich widowsk jak toruńskie „Ruchome piaski” nie chce się oglądać na ekranie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# MIMINO ZNACZY SOKÓŁ

„Mimino” nowy i słusznie nagrodzony Grand Prix na ostatnim moskiewskim festiwalu film Georgija Danilija wprowadza nas w samo sedno najcenniejszych wartości kina radzieckiego, które decydują o jego odrębności kulturowej. Jest to krąg znaczący nazwiskami Szukszyna, Chucijewa, Panfilowa, Awerbacha, Josielianiego czy Szepitko, by wymienić twórców najbardziej oryginalnych, do którego Danilija wnosi ton własny, a zarazem zgodny ze wspólnym doświadczeniem.

Filmy z tego kręgu, które można wywieść z ducha „Dziwięgu dni jednego roku” Michaiła Romma miały jeden podstawowy walor: określały moralne fundamenty egzystencji współczesnego człowieka w warunkach socjalistycznego społeczeństwa. Stawiały pytania najprostsze, najbardziej elementarne na temat ludz-

kiej godności i odpowiedzialności, ukazywały trudności ludzkiego współzycia oraz podkreślały wartość miłości i solidarności. Słowem — próbowały odbudować utracony w latach minionych etos człowieka wzbity z gorsetu propagandowych hasel i frazesów socrealizmu, zakorzeniony natomiast w kulturowym doświadczeniu. Filmy te niosły z sobą niespotykany intensywność przeżycia, ich charakterystyczny „duszyczepialny” rytm sfałszował się z żywiołowym poczuciem humoru, tworząc niepowtarzalny gdzie indziej typ filmowej ekspresji.

Ale wróćmy do filmu Danilija. Kim jest Mimino? Tytułowy bohater filmu jest lotnikiem helikoptera, który kursuje między położonymi wśród gór Kaukazu niedostępnymi wioskami, przewożąc ludzi, zwierzęta, żywność, a także filmy. Bezpośredni,

dowcipny, sympatyczny i pełen naturalnego wdzięku Mimino jest lubiany przez górską społeczność i szybując w słońcu nad malowniczymi kaukaskimi pejzażami zdaje się być szczęśliwy, zgodny z ludźmi, z naturą i własnym życiem. Ten wzór bytowania prostego, naturalnego, szczęśliwości epikurejskiej oddał Danilija najlepiej w innej swojej komedii „Nie smuć się”, która stanowiła kwintesencję gruzińskiej filozofii życia, życia spędzonego pod słonecznym niebem wśród uroków bujnej Natury. W „Mimino” ideał ten zostaje skonfrontowany z innym stylem życia, wyznaczonym przez atrakcje wielkomiejskiej cywilizacji. Przygodkowo spotkany kolega szkolny, lotnik międzynarodowych linii w otoczeniu dwóch pięknych jak księżniczki stewardess jawi się dla Mimino baśniowym wystawcą tamtego, „wielkiego świata”. Mimino podejmuje decyzję — opuszcza rodzinną wioskę i wyjeżdża do Moskwy, aby zdobyć pracę w „bolszaj awiacji”. Film Danilija w tym miejscu zmienia nastrój i rytm. Komedia poetyczna, liryczna przekształca się w komedię obyczajową, pełną zaskakujących sytuacji i satyrycznego dystansu. Ta część filmu najpełniej ujawnia temperament komediowy Danilija i styl jego poczucia humoru. Reżyser zderza swojego bohatera z innym obywatelstwem, ormiańskim szoferem Chaczikianem. Jest to okazja do dobrodusnej charakterystyki odwiecznego antagonizmu obu nacji, który rychło pod wpływem doli i niedoli wspólnej perygrynacji przez wielkomiejski pejzaż przekształca się w czułą i pełną oddania przyjaźń.

Marzenie Mimino o wielkim świecie spełnia się dzięki dość nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności. Ale upragniona realizacja marzeń — jak to w życiu bywa — przynosi rozczarowanie. Samotny Mimino w eleganckim mundurze wędruje ulicami zachodniej metropolii i stąd pragnie połączyć się telefonicznie z najbliższymi z rodzinnego Telawi. Tęsknota jest silniejsza od iluzji lepszego, barwniejszego życia. Sokół wraca do rodzinnego gniazda. Kończy się filmowa bajka o lotniku Mimino. Tak opisany film Georgija Danilija uświadamia pewną prawdę elementarną, która dotyczy niewiele filmów. Wyrzucił ją najpełniej Karol Irzykowski, kiedy pisał, że „zajęcia prawdziwie filmowe trudno wchodzić w odzież słów”. Utwór Danilija jest wypełniony żywiołem filmowości. Jego ogromną zaletą jest styl komediowej narracji: naturalny, spontaniczny, bezpretensjonalny, jak gdyby od niechciana. Reżyseria tego filmu jest dyskretna i powściągliwa, ukryta pod powierzchnią sytuacji i zdarzeń. Brak tu zwartej dramaturgii, kompozycja jest otwarta, akcja filmu zdaje się rozwijać pod wpływem przypadkowych impulsów. Paradoksalnie film Danilija polega na tym, że ujęty w słowa zakrawa na to, na poczucie banału o ludziach, o ich dobroci, pogodzie ducha, przyjaźni etc. Urzany na ekranie budzi intensywne odczucie odkrycia nieznannej prawdy.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

# LUDZIE POD SPECJALNĄ OPIEKĄ

Choroby psychiczne są dziś problemem społecznym, a wśród nich najczęstszą występującą, najbardziej tajemniczą, ciągle jeszcze nieznana — schizofrenia (greckie: schisma — rozszepienie, pęknięcie, rozdwojenie, rozłam; primum — dusza, świadomość, rozum, wola) W społeczeństwach cywilizowanych zapada na tę chorobę blisko 1 proc. ludności, choruje więc co setny człowiek.

Co wemy o tych ludziach, żyjących wśród nas, a właściwie obok nas. W obiegowym przekonaniu schizofrenik jest ciągle jeszcze synonimem niebezpiecznego warjata. Pacjent ukrywa fakt leczenia, rodzina nie przyznaje się, że ma w domu chorego a sąsiedzi i znaniomi znająco pukają oalcem w czoło. Schizofrenicy budzą w nas lęk, niepokój i ich świat jest niedostępny i dziwny. Uczucie grozy potęgował w nas choroby obserwowani w okresach tzw. ostrych rzutów chorobowych. Faktem jest, że wtedy bywają niebezpieczni, czasami agresywni, częściej borykają się z ogromnym ogarniającym ich lękiem. Złwa w bogatym, nierzalnym świecie marzeń, hermetyczni dla o-

czenia, w świecie najdziwniejszych doznań zmysłowych. Czasami rzeczywistość bywają niebezpieczni dla otoczenia, częściej dla samych siebie i to przede wszystkim w obawie o ich zdrowie! życie muszą być w tym czasie leczeni i izolowani w szpitalu. Stan taki trwa zazwyczaj od kilku dni do kilku miesięcy i przy dzisiejszych zdobyciach medycyny daje się dość łatwo opłoniwać.

Schizofrenia zazwyczaj przebiega cyklicznie, kolejną fazą jest okres tzw. remisji — okres względnego zdrowia psychicznego. Trwa może wiele miesięcy, a w sprzyjających warunkach nawet wiele lat. W tym okresie choroby nie widać na „pierwszy rzut oka”. Chorzy przebywają poza szpitalem, poruszają się swobodnie, mijamy ich na ulicy, w tramwaju, w sklepie i tylko wprawne oko dostrzeże ślądniętą twarz, zmienioną nieco mimikę lub dziwne spojrzenie. A jednak lęk przed ludźmi, skłonność do izolowania się, spadek zainteresowań intelektualnych, trudności w podejmowaniu decyzji, brak inicjatywy osłabienie woli itp. w sposób zasadniczy różnią schizofrenika

od człowieka zdrowego. Dlatego też w większości są oni inwalidami II lub I grupy, co oznacza całkowitą niezdolność do pracy, a przy „jedynczej” ponadto niezdolność do samodzielnej egzystencji.

Jest to tym boleśniesz, że dotyczy ludzi młodych, wchodzących dopiero w życie. Najwięcej zachorowań następuje między 15 a 30 rokiem życia. Chorują zarówno kobiety jak i mężczyźni, ludzie różnych zawodów, z różnych środowisk. Choroba zmusza do odejścia od zawodu, przerywa szkołę, studia, komplikuje życie osobiste. Skazuje na wieloletnią weterację, życie na marginesie.

Spółczesność nasze od dawna podejmuje starania rehabilitacji społecznej i zawodowej ludzi psychicznie chorych. Jedną z form są organizowane na terenie całej Polski zakłady pracy chronionej. Pracują w nich chorzy, zdawalioby się na zawsze odsunieni od czynnego życia zawodowego i społecznego. Pracują bez specjalnych ulg, „na akord”, w systemie zmian od godz. 6 do 22, oddają wyroby w pierwszym gatunku. Pracują rzetelnie, nie

gorzej od ludzi zdrowych. Zarabiają dobrze, niektórzy 4-5 tysięcy miesięcznie i więcej. Wielu z nich otrzymuje renty, dokładają do nich zarobione pieniądze. Wykonują proste prace fizyczne: szycie rękawic ochronne, pieluski i przesieradła, obsługują ręczne maszyny dziewiarskie itp. Są wśród nich absolwenci szkół podstawowych i uniwersytetu. Pracuje prawnik, ekonomista, zdarza się, że i lekarz. Choroba nie wybiera. Trudno się z tym pogodzić, ale lepsza taka praca niż bezczynne siedzenie w domu, gdy renta czy zapomoga z opieki społecznej nie starcza na zaspokojenie wszystkich potrzeb, a rodzina patrzy niechętnie na chorego. Więc pracują, starają się przystosować, wiedzą, że ich praca się liczy, liczą się również zarobione pieniądze. Przed wszystkim chcą być potrzebni. Na ogół czują się dobrze w zakładzie, wśród swoich, tu nikt się nikogo nie wstydił, nikt nie jest gorzej. Znajdują utracone przyjaźnie, a bywa, że i towarzysza na całe życie. Po pracy można pójść wspólnie do kina czy teatru, wyjechać na wycieczkę, na wspólny, zorganizowany urlop — pod opieką lekarza i pielęgniarki, gdzie kulturalno-owiatowy nie pozwoli siedzieć w kacie, wciągnie do zabawy. W założeniu jest, aby nikt nie czuł się samotny i niepotrzebny.

Stale działająca w zakładzie pielęgniarka w porę zauważy symptomy zbliżającej się choroby, lekarz w porę zwiększy dawkę leków, ratując częstokroć pacjenta przed długotrwałym i przykrym dla niego pobytym w szpitalu, psycholog przeprowadzi żywiołą rozmowę i dobierze właściwy rodzaj pracy. Tu się pomoże umieścić dziecko w żłobku czy przedszkolu, napisać podanie, załatwić rozwód, eksmisję męża-alkoholika lub przeciwnie — załago-

dzić konflikty rodzinne. Bo samotności, nieszczęścia i ludzkiej niedoli więcej tu niż gdzie indziej. Mniejsza zarobkowo, mniejsza odporność psychiczna. Często ma on opuszczoną chorą żonę, rzadziej zdarza się sytuacja odwrotna. Dorosła dzieci są obojętne wobec chorej matki. Rozmowy z rodzinami, interwencje, sprawy w urzędach należą do stałych obowiązków personelu.

W województwie łódzkim miejskim istnieje 14 zakładów pracy chronionej, w których znalazło zatrudnienie i opiekę 499 osób. Bardzo nikiły to procent, a można by zaryzykować twierdzenie, że zdolnych do podjęcia pracy w warunkach chronionych jest znacznie więcej. Jak dotychczas, organizacja zakładów pracy chronionej podejmuje się jedynie spójniejszą inwalidzka mając do zafierowania prace dostępne tzw. drobnej twórczości. Marzyłoby się również inne formy pomocy ludziom psychicznie chorym, chociażby opieka ze strony macierzystego zakładu pracy czy macierzystej uczelni: umożliwienie choremu wykonywania pracy zbliżonej do wyuczonego zawodu. Praca leczy tym bardziej im większa daje satysfakcję. Przy braku miejsc w szpitalach psychiatrycznych ważny jest każdy dzień pobytu chorego poza szpitalem, gdy w dodatku może on w tym czasie zarobić na własne utrzymanie. — Ale najważniejsze — to przywrócenie psychicznie choremu godności ludzkiej i miejsca w społeczeństwie.

ELŻBIETA KAJZER

# PICIA UCZA DOROŚLI

Spożycie alkoholu wzrasta nie tylko u nas. Wszędzie, jak Europa duża i szeroka, ta krzywa pnie się do góry. Według tych oficjalnych danych obywatele Republiki Federalnej Niemiec wydali w 1977 roku nieco ponad 30 miliardów marek, zatem blisko 15 miliardów dolarów na zakup alkoholu. Hamburgski tygodnik „Die Zeit” rozpisal wśród młodych ankietę z zapytaniem, jakie są przyczyny, dla których alkoholizm zaczyna być plagą także wśród młodzieży.

Oto kilka odpowiedzi:

— Przyczyna jest taka, jaka była zawsze. W chwilach smutku, zamyślenia, samotności i lęków, jakie nas czasem nawiedzają, sięgamy po butelkę. To jest ta zastona, za którą chcemy się ukryć przed troskami codziennego życia. Skutek? Jeszcze większe osamotnienie i głębszy smutek. Środek zaradczy? Jeszcze większe i częstsze dawki alkoholu. Zaskłębne kolo, z którego nie widać wyjścia.

Sabine Anzengruber, 17 lat

— To wina przede wszystkim bezrobocia. Młodzi, którzy tygodniami szukają daremnie w „Arbeitsamcie” skierowania do jakiejś pracy, zaczynają w końcu pić, żeby zdusić w sobie te wszystkie denerwujące ich myśli.

Jost Schilgen, 18 lat

— Zauważyłem, że wielu chłopców jest nieśmiały i brak im pewności siebie. Brak im odwagi do dziewcząt. Piją, żeby pozbyć się stremowienia i ułatwić sobie kontakt. Moim zdaniem wielu pije nie dlatego, że im alkohol smakuje, a tylko dlatego, by wzmocnić swoją osobowość.

Gabriele Thyen, 14 lat

— Nasze społeczeństwo zapędziło się w zaulek bez wyjścia. Te różne konflikty społeczne mnożą się coraz bardziej. Tak się już utarło zwyczajowo, że wypada ze względów prestiżowych i pod wpływem masowej sugestii pić jak pijal. Dlatego piją już wszyscy.

Andrea Steudel, 15 lat

— Często się zdarza, że patrzeć już nie można na te wszystkie draństwa, które wokół się dzieją. Wtedy ucieka się w świat snów, iluzji i marzeń. Najlepszym do tego środkiem jest alkohol. Tym bardziej że w odróżnieniu od narkotyków alkoholem są wszędzie dostępne. Dlatego jest to najłatwiejszy, najtańszy i najskuteczniejszy środek, żeby odzyskać choćby na krótki czas równowagę duchową i zapewnić sobie nieco odprężenia.

Bettina von Schack, 16 lat

— Kiedyś pijaństwu oddawali się ludzie biedni i zrozpaczeni — teraz piją wszyscy, ci na górze, i ci na dole. Młodzi chcą dorównać dorównać. Stąd właśnie owe „Sauf-partys”, o których potem opowiada się z dumą szkolnym koleżankom.

Christine Petry, 15 lat

— Nikt inny tylko dorośli uczą nas pija. To rodzice częstują nas alkoholem podczas tych wszystkich „Partys”, które urządzają w domu. „Die Flasche” urosła do symbolu dorosłości. Więc młodzi dorośli naśladowują.

Klasa 7 b szkoły im. „Maxa Plancka” w Rüsselheim

A jak przedstawia się spożycie piwa, wina, wódki w przeliczeniu na czysty alkohol i na głowę ludności w krajach Europy? Dane wyciągnięte w latach 1976 roku i oparte są o urzędowe statystyki.

Francja	— 16,5
Portugalia	— 14,1
Hiszpania	— 14
Włochy	— 12,7
RFN	— 12,5
Austria	— 11,2
Szwajcaria	— 10,3
Polska	— 8

Problem jest nie w pić, tylko w umiarze. Już Konfucjusz w swej „Księdze Poczyl” pouczał: CZŁOWIEK, KTÓRY NAD SOBĄ PANUJE — PIJE Z POWAGĄ I PIJE Z ROZSĄDKIEM.

JAN BĄBIŃSKI

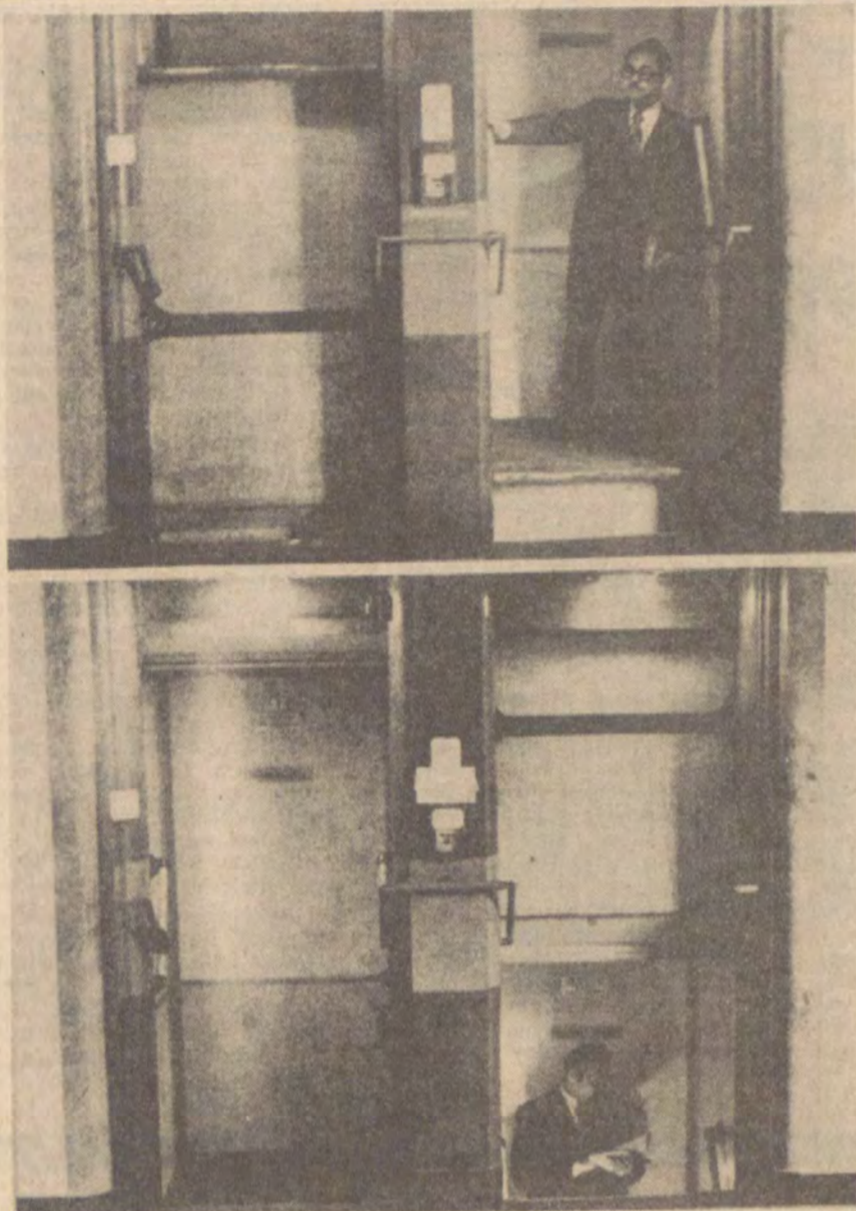


Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

# TAJNY DETEKTYW

Najpierw do drzwi mieszkania rencisty D. zapukał mały rudzielec. Za nim wsunął się wysoki brunet.

— Pan kolekcjonuje zegary — zapytał rudy.

— Tak. Panowie chcieliby obejrzeć

— Jasne! — powiedział brunet. — Jestem porucznikiem milicji — dodał szepcem.

— Ale dlaczego do mnie? — struchlał rencista. — Ten drugi pan też władza?

— Powiedzmy — mruknął rudy.

— Panowie! O co chodzi?

— Jestem konfidentem — szepnął jadowicie rudy. — Wystarczy?

— Jesteśmy na tropie szafki przemytników — oświadczył porucznik. — Podejrzewam, że w zegarach przemycane jest złoto.

I zaczął fachowo opukiwać zegary. Zainterесowały go dwa scienne, z szafką i bez szafki.

— W nich jest złoto? — zapytał zdumiony kolekcjoner.

Porucznik z niezadowolonym pokręcił głową.

— Chyba nie — mruknął. — Ale trzeba sprawdzić. Jak nie będzie, kupię je od pana. Ile?

— Pięćset złotych — odparł szybko rencista.

— A więc pieniądze za dwa tygodnie, po ekspertyzie...

Krawiec Anders szedł do hydrantu ulicznego po wodę, gdy drogę zastąpił mu wysoki brunet o świadczającym, że jest kierownicą z „Polfy” i ma do upłynienia 25 metrów węgla. Deputat mu niepotrzebny, wyjaśnił, bo mieszka w blokach. Krawiec reflektował, upewniwszy się, że otrzyma kwit. Kierowca jednak oświadczył, że dzisiaj nie ma dobrego węgla na sort. Okazał dowód osobisty, krawiec spisał dane i wręczył 500 złotych zaliczki.

Później oddał jej dowód. Bez pieczątki i zapalniczki.

Trzeciego dnia nad ranem Anders ujrzał w drzwiach zmęczoną twarz kierowcy, który powiedział, że cała noc wozil z kolegami węgiel, sam koci, czyli miał, i chętnie by się napił wódki, gdyby miał dwie stowy, ale żywi nadzieję, że będzie je miał. Anders zaważał się...

Z chytrym uśmiechem wymienił cały szereg nazwisk funkcjonariuszy. Załamany krawiec wręczył mu szybko pieniądze i cierpliwie czekał na węgiel prima sort.

Rencistka Nowacka patrzyła z przerażeniem, jak wysoki brunet wprowadza do mieszkania jej kompletnie pijanego syna. Brunet oznajmił, że jest porucznikiem MO i jeśli za dwie godziny nie otrzyma dwustu złotych, aresztuje tego pijaka. Syn bełkotał bez przerwy „panie władzo”, matka trzęsła się ze strachu, ale musiała oświadczyć, co było zgodne z prawdą, że nie ma

tytu pieniędzy. Wtedy syn odepchnął ją tak silnie, że wpadła na kredens. Nowacka powiedziała, że jak brunet jest władzą, to nie powinien pozwolić, żeby syn ją znieważał. Porucznik wzruszył obojętnie ramionami i wyszedł, syn natomiast rzucił się do lodówki i wyjął wędlinę. Ale zanim „pan władza” opuścił mieszkanie, zamienił szepcem kilka słów. Nowacka wyszła na ulicę i wrzasnęła do porucznika, że jak syn jest winny, to niech go zabiorą na Komendę. Alsyn sam poszedł za porucznikiem, z wędliną w kieszeni zresztą. Rencistka stwierdziła, że z portmonetki zginęło jej ostatnie siedemdziesiąt złotych. Śasiadka z przeziwka oświadczyła stanowczo:

— Ja tego bruneta znam, to nie jest milicjant. To jest element, pani Nowacka...

Jerzy Owocniak opowiada z goryczą:

— Szajba mi odbiła i ściągnęłam po pijaku taką jedną na chatę. No i mówiąc urzędowo — ta przygodnie poznana kobieta okradła mnie z przedmiotów należących do mojej żony. Chciałem się powiesić, ale Heniek powiedział, że jeden białcharz mi to załatwi, bo on zna tę kobietę. Poszedłem pod wskazany adres. Przyjął mi młody wysoki brunet, który oświadczył, że jest tajnym detektywem w randze podporucznika. Owszem, ta zdzira jest notowana, nie się ukrywa. On ją znajdzie, odzyska stracone przedmioty, ale stawka wynosi 500 złotych, plus koszty. Datem. Po kilku dniach Jerzy S. bo tak się nazywał detektyw, powiadomił mnie, że ujął poszukiwaną i obecnie znajduje się ona w Komerndzie. Jak tam poszedłem, to się dowiedziałem, że tę złodziejkę znaję bardzo dobrze, ale o detektywie pierwsze słyszą, bo żaden Jerzy S. nie pracował, nie pracuje i na pewno nigdy nie będzie pracował w milicji...

Poszkodowani znali nazwisko i adres oszusta, lecz mimo to nie zgłaszali się na milicję. Dlaczego? Czy byłoby to zgubny wpływ amerykańskich filmów kryminalnych, utwierdzający w poglądzie, że również nasza milicja jest skorumpowana i nie można z nią wygrać? A może milicjant skojarzył się z policjantem, takim cwaniakiem, który bez legitymowania się mówi, że jest gliną i robi, co chce? Coś w tym jest, ale na pewno, co za brzmienie paradoksalnie, zaważyło tutaj... zaufanie do milicji. Zasugerowani rangą i funkcją, ludzie uwierzyli oszustowi.

Jednakże finał jeszcze raz utwierdził ich w przekonaniu, że polska milicja to nie gliny z gangsterskich filmów, i że zagrywki jednego cwaniaka nie mogą podważyć dobrego imienia milicjantów. Ale na łownych nadal nie brakuje. Na szczęście za wszystko zapłaciła również naiwna, zakochana żona tajnego detektywa, który nareszcie włożył właściwy sobie mundur. W pasy...





# LIGA

Opadły mundialowe emocje i można na sprawy piłki nożnej spojrzeć spokojnie, z pewnej perspektywy. Ale z tej perspektywy nie widać nic innego niż było widać z bliska, kiedy byliśmy wszyscy rozdyktowani, rozemocjonowani, pełni zawodu. Jest bowiem faktem, że obiecywano nam wiele, a dano mało. Żadna to w końcu pociecha, że nasi piłkarze nawiązali kontakt ze światową czołówką. Gdyby spojrzeć na stan naszej reprezentacji w perspektywie ostatnich czterech lat, to spadek jej formy, jaki nastąpił po mistrzostwach świata w 1974 roku, nie został radykalnie przezwyciężony. W gruncie rzeczy ani srebrny medal na olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku, ani sąsiedztwo z czwórką najlepszych drużyn piłkarskich świata nie satysfakcjonuje nas w takim stopniu, jakbyśmy tego oczekiwali. I wcale nie dlatego, że są to miejsca gorsze od poprzednio zajmowanych. Myślę, że podstawą zamartwienia kibiców jest zupełnie coś innego.

Byłoby oczywiście nonsensem uważać, że jedna drużyna skoro już raz zdobyła jakiś tytuł, to powinna go nieustannie posiadać, bronić, jeśli już nie awansować dalej. Taki postulat jest nierealny, gdyż inne zespoły też rozwijają się i sięgają po coraz wyższe piłkarskie zaszczyty. A więc, o co chodzi? Chodzi o pewien poziom. Kibic godzi się — acz niechętnie — z tym, że inni też mają prawo sięgnąć po zwycięstwo, ale chciałby, aby jego drużyna przegrywając, zostawiała nadzieję na przyszłość. Tym razem nie udało się, ale za rok, za dwa, za cztery — to oni są zdolni jeszcze pokazać. I sek w tym, że drużyna, która walczyła w Argentynie nie jest w stanie już nic pokazać, jak nie była w stanie nic pokazać ani w mistrzostwach Europy, ani w Montrealu — choć przeciwnicy nie byli najsilniejsi — ani wreszcie w Argentynie, kiedy przyszło zmierzyć się z rzeczywistymi groźnymi rywalami. A czy mamy inną drużynę?

Już niedługo zacznie się nowy sezon ligowy. Publicyści sportowi przypominają z tej okazji, że niemal po każdym naszym występie w jakimś turnieju przez łamy prasy przewala się wielkim głosem powtarzane wołanie: wzmocnić klub! Wszyscy zgodni są, że słabość naszej reprezentacji tkwi w poziomie ligi. Tu piłkarze uczą się taktyki i strategii, kalkulacji, tu zdobywają i tracą formę, tu uczą się strzelać lub o tym zapominać. Tu pojawiają się nowe piłkarskie talenty i tu giną.

Jeśli już przypominamy sobie różne sprawy ligi, to przypomnijmy też, że nasze ligowe drużyny stale ustępują w europejskich pucharach zagranicznym ligowym zespołom i to nie zawsze tym najsilniejszym. Przypadek zabrzańskich „Górnika” potwierdza tylko regułę, ale też i „Górnika” gra dziś w drugiej lidze. Przyczyn słabości naszej piłki nożnej trzeba więc szukać w lidze. Tylko że liga to już inna zupełnie sprawa. Tutaj samodzielnie rządzą kluby, stając się na czele swych klubowych interesów. PZPN może odgrywać rolę dobrego wujaszka. Ale kiedy przychodzi do reprezentowania Polski na zagranicznych boiskach i kiedy to reprezentowanie nie udaje się nadzwyczaj, wszystko spada na PZPN. Warto więc przy tej okazji uważnie przyjrzeć się organizacji polskiego sportu, a konkretnie organizacji piłki nożnej. Okazja po temu jak najbardziej sprzyjająca. Przed nami mistrzostwa Europy i olimpiada w Moskwie, a i na mistrzostwach świata w Hiszpanii też nasz piłkarz będzie chciał odrobić straty. Poza tym dokonano zmian w strukturze zarządzania sportu i nowe władze GKKF mają okazję spojrzeć po nowemu na stare sprawy.

I sądzę również, że warto inaczej spojrzeć na sprawę tak zwanych transferów. Wielu piłkarzy zgłosiło chęć grania w innych klubach. Przypisy PZPN ograniczają takie możliwości. Stoją one na straży stabilności zespołów klubowych. Z jednej strony to dobrze. Ciągła rotacja w drużynie nie sprzyja osiąganiu dobrych wyników. Z drugiej strony praktyka pokazuje, że wielu piłkarzy źle sprawujących się w jednej drużynie osiąga dobre wyniki w innej. Czy z punktu widzenia polskiej piłki nożnej należy blokować przechodzenie piłkarzy z jednego klubu do drugiego?

„Express Ilustrowany” doniósł niedawno, że krząta plotki o tym, jakoby Grzegorz Lato chciał przenieść się z Mielca. Takie plotki krążyły już poprzednio. Być może Grzegorz Lato nie czuje się najlepiej w mieleckiej drużynie, być może w innej mógłby wykazać się dalszym wzrostem formy i większą jeszcze skutecznością. W Argentynie dowiódł przecież, że nadal potrafi grać nawet w meczach z bardzo trudnymi przeciwnikami. Może więc być pożyteczny. I co się nam bardziej opłaca? Trzymać go nadal w Mielcu, czy dać mu możliwość znalezienia takiego zespołu, który pozwoliłby mu dalej się rozwijać?

**BOGDA MADEJ**

**KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI**

# OGŁOSZENIE W SPRAWIE DWÓCH DO ROZBIÓRKI DOMU

Przed budynkiem gospodarczym Magda rozgląda się dokoła. Widzi Liska, który kreci się obok rozbiwanej chaty. Magda wyrzuca papierosa, przgniatą go nogą. Idzie w kierunku chaty. Zatrzymuje się obok Liska.

— Nie ma pan ognia? —  
— Ognia?.. proszę bardzo... a może Sporta?..

Magda wyjmując swoje Pall Mall, Lisek zauważa gatunek papierosów:

— Pewnie cudzy?..

— Nie, „Pall Mall”.

Lisek wyjmując papierosa, ogląda go, śmieje się. Śmieje się także dziewczyna:

— Ale się pan nie dał nabrać... —  
— Ze mną nie tak łatwo... —

Lisek pokazuje sztuczkę — zapala zapalniczką, trzymając ją i pudełko w jednej dłoni. Dziewczyna patrzy na to z zaciekawieniem, po czym przypala papierosa.

— Trzeba mieć talent w palcach... —  
— Niech pan to jeszcze raz pokazuje... —

— Pokazywałem to ja w przed-szkole... ale dla pani mogę to powtórzyć... —

Lisek jeszcze raz wykonuje sztuczkę. Dochodzi głos Blaszczykowej stojącej w drzwiach nowego domu:

— Pani Magdo!

— Muszę już lecieć, to do zobaczenia... —

Magda przebiega podwórko, niknie w drzwiach domu.

Siedząc na taborecie Bambino wpatruje się w oczy Magdy. Jest noc, pokój w którym mieszka dziewczyna. Na jego, wyciągnięte przed siebie przedramiona. Magda nawija nitkę wełny, którą spruwa z leżącego na łóżku sweterka. Dziewczyna chce się upewnić, czy to nieufość:

— Nie przyjdzie tutaj? —  
— Nie przyjdzie.

— Ale na pewno? —  
— Na pewno... dłużej w zębach?.. —  
— Jak to?.. dłużej w zębach?.. —

— Zapalnik... jak dłużej w zębach zapalnik, to się godzinami z łóżka nie rusza... —

— A gdzie on się tak godzinami z łóżka wylęgiwał? —  
— To leniuch — Bambino odwraca wzrok od twarzy dziewczyny — jakiegoś byli na czasach, to ciągle byłem leżał.

— Na czasach?.. Ja też byłem na czasach... Powiedziałabym ci więcej, ale pewnie rozpalasz... —

— Nie rozpalam.

Magda rozplata nitkę przy sweterku. Bambino błędzi wzrokiem po ścianie, do której dziewczyna przykleiła pudełko po zagranicznych papierosach.

— Wiesz, ja z domu ucieklam... ze starymi nie mogłam wytrzymać... nikogo do domu nie mogłam sprowadzić... nie można głośno grać na adapterze... nie można fajki zapalić... mówię ci, makabra... a on nie przyjdzie ci szukać?.. —

— Nie przyjdzie... powiedziałem, że idę się wykapać... —

— Zresztą drzwi zamknęłam... ale masz muskuły... —

— W koszuli nie widać.

Magda obmacuje przez koszulę muskuły skrepowanego niemą chłopaka. Bambino pochyła się, zbliża się do niej coraz bardziej, aż wreszcie całuje Magdę w usta. Ma skrepowane ręce, ale kiedy pocałunek się przedłuża, wyplatając ręce z wełny, wkłada je pod bluzkę Magdy na plecach. Dziewczyna nagle odrywa się od niego.

— Tego nie rób, ja nie jestem taka... —

— Ja?.. —  
— Ja nie jestem dziewczyna łatwa

— schyla się na podłogę, podnosi wełnę, obydwójce starają się ją rozplatać — nie z tego, trzeba będzie nawijać od nowa... nadstaw ręce... Ze mną to trzeba dłużej chodzić. Wiesz, ja muszę męczyłkę poznać... czy można na nią polegać... wiesz, ja mam znajomych w Łodzi, można by u nich zamieszkać... ale trzeba by płacić... jakbyśmy złożyli pieniądze, to można spróbować... —

Na drugi dzień znów praca przy rozbiórce domu. Gospodarz siedzi za kierownicą traktora, Bambino i Lisek, pod rozbiwanym dachem, zajęci są na strychu. Przymocowują linę do szczytu domu, której drugi koniec zamocowany jest do pojazdu Blaszczykowej, babka i Magda obserwują ich czynność z dołu. Bambino upewnia się:

— Chyba będzie trzymać.

— Nie puść — Lisek głośno woła w kierunku Blaszczykowej: — Można ciągnąć.

Traktor rusza, liną się napręża. Przednie koła traktora unoszą się do góry. Szczyt domu przechyla się i spada obok ściany podnosząc tuman kurzu. Lisek i Bambino zeskakują. Twarze kobiet zapatrzone w pracę nieoczekiwaną. Bambino odcepiła linę od traktora. Blaszczyk zwraca się do niego:

— Antek, siada! Pojeździemy przy młocarni pomajstrować. Mówiłeś, że kończyłeś mechanikę.

Bambino siada obok Blaszczykowej, traktor odjeżdża, niknie w budynku gospodarczym. Lisek porządkuje drewno po rozwalonym szczyśle dachu. Blaszczykowa i Magda chwytają babkę pod pachy i odchodzą w kierunku nowego budynku.

Naprawa młocarni nie jest sprawą prostą. Bambino umorusany leży pod maszyną, Blaszczyk, pochylony, przygląda się z boku.

— No i co? —  
— Jeszcze nie wiem. Pierwszy raz mam z tym do czynienia... bo inaczej to strata czasu... —

— Niechże pan poczeka... nie od razu... potrzebny klucz francuski... —

Tymczasem na podwórku pojawiają się dwaj mężczyźni, którzy, z przewieszonymi torbami, wyglądają na monterów. Znikają w drzwiach nowego budynku.

Bambino gramoli się spod maszyny. Blaszczyk, zaciekawiony, pochyła się i pyta:

— No i co? — spogląda na śrubkę w dłoni Bambino.

— Ta ósemka nie trzyma.

— Gwintu nie ma?

Bambino ponownie wchodzi się pod maszynę. Obok Blaszczykowej pojawia się Magda.

— Proszę pana, dwóch przyszło.

Blaszczyk zagląda pod młocarnię, to samo machinalnie czyni dziewczyna.

— Jakich dwóch znowu? —  
— W sprawie telefonu.

W przedpokoju Blaszczykowej słuchają wskazań fachowców. Ten starszy, lisy, wypowiada się szybko, spoglądając raz na gospodarzy, to znów na swego młodszego kolegę — przyszeptał:

— Praktykuje się, szanowny panie, robienie wejścia w przedpokoju. Wtedy pan umieszcza aparat na półce, dajmy na to w tym miejscu — pokazuje wysokość — co gwarantuje równomierną słyszalność sygnału we wszystkich punktach obiektu... więc jak, można przystępować?..

Przyszeptały wyjmując z torby kilka aparatów, pyta:

— Który aparat panu odpowiada — trzy aparaty kładzie na podłodze. Blaszczykowie schylają się, aby dokonać wyboru.

— Który ci, Helenko, aparat odpowiada?..

— Może by ten — Blaszczykowa wskazuje jeden z aparatów. — Ten jest dla dyrektora GS.

— To może by ten — Blaszczyk pokazuje czerwony telefon.

— Ten jest uszkodzony.

— Więc który jest do wyboru? — Przyszeptały dotyka palcem pozostały, trzeci aparat.

— Ten jest do wyboru.

— No to niech będzie.

Przyszeptały chowa dwa telefony, lisy rzuca z powagą:

— Zrobił pan dobry wybór.

Spod młocarni wychodzi pies, zaraz za nim wychodzi Bambino. Uruchamia silnik elektryczny, z którym maszyna połączona jest pasem transmisyjnym. Przez chwilę obserwuje pracę młocarni. Silnik pracuje nierównomiernie, co widać po ruchu pasa. Jakby dawał się, po chwili staje. Chłopak odłącza silnik od sieci, następnie zdejmując pas transmisyjny z koła napędowego.

Tego dnia jest wyjątkowo ładna pogoda. Przy starej chałupie pracuje Lisek: obsadza kilof. Zagaduje go Magda:

— Mogłby mi pan dać ognia, panie Zbyszku?..

Lisek zapala zapalniczkę w sposób, który tak intriguje dziewczynę.

— Jak pan to robi, panie Zbyszku?..

— Nauczyłbym panią, ale nie ma czasu ani warunków... —

— Panie Zbyszku, gdzie pan był na czasach? — Magda nawija do tego, co usłyszała od Bambino.

— W oczach Liska pojawia się błysk lekkości: czyżby ktoś wiedział tutaj o robocie za dużo? Ale za chwilę się uspokaja — w oczach dziewczyny maluje się czysta naiwność.

— Ja byłem w Międzyzdrojach — Magda porzuca swoje pytanie. — Można się było na plaży wybaczyć... było klawo... —

— Pewnie było dużo cudzoziemców?..

— Było dużo Szwedów... ale ja nie z takich... tyle że można było co wieczór potańczyć... —

— Ja nie lubię tańców... ja lubię spokój... najchętniej pojechałbym tam, gdzie nikogo nie ma... znam takie jedno miejsce nad wodą... —

Z nowego domu kuśtykając wychodzi babka.

— Ta tylko szpieguje, leć, bo jeszcze nam mniej zapłacą... ale niech pan kiedy do mnie zajrzy z dyskrecją... —

W międzyczasie gospodarze i monterzy przenieśli się do dużego pokoju. Teraz głos ma gospodarz.

— To, jak pan powiedział, żeby w obiekcie głos telefonu rozchodził się równo, to jest inna sprawa, ale ja sobie żyć chcę mieć aparat pod ręką... i trzeba tak umieścić gniazdko, żeby można było telefon wygodnie przedstawiać... niech no pan trzyma koniec kabla.

Blaszczyk wręcza monterowi końcówkę przewodu, wskazuje na punkt w ścianie.

— Niech pan w tym miejscu potrzyma.

Monter przytyka koniec kabla do ściany we wskazanym miejscu Blaszczyk przemierza pokój po okręgu,

który wskazuje długość przewodu. Wtrąca się Blaszczykowa:

— W tym miejscu będzie stała szafa.

— Prawda, nie może być gniazdko za szafą... to niech pan przyniesie koniec tutaj. — Blaszczyk wskazuje inne miejsce na ścianie. Zwraca się do żony, wręczając jej telefon: — Teraz ty, Helenko, spróbuj, dokąd sięga.

Blaszczykowa powtarza manewr, który przed chwilą wykonywał jej mąż. Blaszczyk i drugi monter obserwują to z boku.

Babka na własną rękę prowadzi odważne śledztwo. Śmiało przekracza próg pokoju Liska i Bambino. Będąc już wewnątrz, zamyka drzwi i badawczo rozgląda się dokoła. Na łóżkach leży pościel starannie ułożona. Na taborecie stoi szklanka i blaszana puszka. Babka otwiera puszkę. Jest pełna popiołu i niedopałków. Zamyka ją, stawia na swoje miejsce. Robi dwa kroki w kierunku wyjścia. Podejrzliwa, podnosi jednak starannie ułożony koc na jednym z łóżek. Pod kocem ukryty jest kabel. Babka trzyma go w dłoniach, ogląda z zaciekawieniem. Po oględzinach, trwających dobrą chwilę, chowa przewód na swoje miejsce, zakrywa kocem jak poprzednio i, zacierając ślady rewiżji, przeciąga po kocu ręką.

Aparat znajduje się na krześle. Blaszczyk i jego żona siedzą na łóżku i wpatrują się w telefon. Na kolanach Blaszczyka książka telefoniczna. Blaszczykowa podnosi słuchawkę, przytyka do niej ucho.

— No i jak? —  
— Posłuchaj.

Podaje mężowi słuchawkę. Blaszczyk nastuchuje.

— To sygnał.

Odkłada słuchawkę na aparat.

— Przyszło mi do głowy Siefan, że można by wypróbować... —

— Masz rację, trzeba wypróbować... Ale do kogo?.. —  
— Do Górskiego.

Blaszczyk podnosi słuchawkę, wykręca dwucyfrowy numer, słucha.

— Nie odpowiada — podaje słuchawkę żonie — posłuchaj... —

— Nie odpowiada... — Blaszczykowa oddaje słuchawkę.

— Nie odpowiada — odkłada słuchawkę na aparat.

— Pewnie nie chce z nami gadać.

— Niemądra jesteś, skąd może wiedzieć, że to telefon od nas... —

— On wie wszystko, co się we wszech dzieje... jak przyszło do siódmu monterów, to już na pewno wie, że mamy telefon... —

— Nie o to chodzi, Helenko, dopóki słuchawki nie podnieś i nie usłyszysz głosu, skąd może wiedzieć, kto chce z nim rozmawiać?.. —

Blaszczyk chwytając książkę telefoniczną, bierze ją na kolana, przegląda, głośno czytając:

— Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjnych, Zakład Produkcji Sprzętu Wymiarowniczego, Polski Komitet Normalizacji Miar, Zakład Zdrowia Psychicznego... — zamyka książkę.

— Wiesz, gdzie można zadzwonić — Blaszczykowa pokazuje palcem numery wyszczególnione na okładce.

— Pogotowie Ratunkowe, Straż Pożarna, Milicja Obywatelska... no i co z tego?.. —

— Można by ostrzec, rozumiesz, że tych dwóch... że oni pewnie coś knują... —

Blaszczyk śmieje się, podnosi słuchawkę, wykręca numer. Po chwili odkłada słuchawkę.

— Nie, Helenko, bez żartów, przecież nie bądźmy dziećmi... —

— Dziećmi?... Ty sam się ich obawiasz.

— W każdym razie mamy ich teraz w garści. Niechby tylko co podejrzanego... —

Wieczorem Lisek odpoczywa na łóżku przeglądając gazetę. Bambino majstruje przy rozmontowanym elektrycznym silniku.

— Wiesz Lisek?.. na szczytkach były luzy, końcówki są zaśnieżone... —

— Coś ciekawego znalazłem. Posłuchaj: „W Olszówce nieznanymi sprawcami dokonano włamania do kiosku Ruchu. Ktośkolwiek znajdował się w okolicach kiosku w godzinach wieczornych, proszony jest o stawienie się w Komendzie Milicji w Olszówce celem złożenia zeznań”. Co o tym powiesz? —

— Co mam powiedzieć? Albo ja tam byłem?.. —

Lisek śmieje się. Odkłada gazetę. Zastanawia się:

— Ciekawo ile złożył? To mi wygląda na Szipenia.

— Może i tak.

— Jeszcze jak z nim siedziałem chciał mnie w to wciągnąć.

— Ale uciekłeś... Zwiastę, bo chciałeś wejść na nową drogę życia.

— Razem zwiastę... Ty też uciekłeś przed nim.

— Pamiętasz, co mówił... że jak kogoś szuka, to i spod ziemi wygrzebie.

— Musiałby przeskakać wszystkie wsie w powiecie.

— Ale jak wtedy kupił tę samą gazetę?... jak wpadło mu w oko to ogłoszenie... —

Lisek nerwowo porusza między zębami zapalnik.

(c.d.n.)

## Zdarzenia i zwierzenia

Latem nic się nie dzieje. Wydawcy czekają z nowymi książkami na jesień — otwarcie sezonu. Działalność kulturalną zawieszają na kółku — a w tych Wydziałach Kultury gdzie wisi ona na kółku cały rok — działacze rozglądają się za nową robotą.

Pozostaje tylko prasa tygodniowa, która w przeciwieństwie do codziennej przyniesie jakiś materiał do refleksji, a nawet do zabawy. Czytam na przykład „prognozę” Komitetu Ekspertów, w myśl której w roku 2000 (czyli już za 22 lata) będzie 40 proc. rocznika maturalistów na studiach. Daje to około... miliona studentów.

Jeden z najbardziej rzeczowych i zorientowanych publikistów oświatowych Stanisław Bortnowski z „Życia Literackiego” tak komentuje tę „prog-

# WYPISY Z PRASY

nozę”: „Byłoby to po prostu czyste szaleństwo i twarde życie odcuci nas księżycowego planowania”.

A swoją drogą może by w tym wypadku słowo „ekspert” wziąć w cudzysłów? Nawiasem mówiąc w roku ubiegłym limity przyjęte na wyższych uczelniach spadły do 65 tys. miejsc, a w roku bieżącym ograniczone zostaną o dalszych kilka tysięcy miejsc.

Jeśli już jesteśmy przy lekturze „Życia Literackiego” to warto zwrócić uwagę na artykuł Jana Okopienia „Od pomysłu do wykonania”. Otóż Państwowy Instytut Wydawniczy wpadł na pomysł, choć trochę długo to trwało, aby wydać tzw. „Bibliotheca Mundi”, gromadzącą najważniejsze utwory piśmiennictwa światowego. Wiemy przecież, że nie istnieje w Polsce jakiś kanon biblioteczny, grupujący dzieła, które legły u podstaw kultury różnych ludów.

Przedstawiciele PIW otrzymali nawet obietnicę, że dostaną papier, ale gdy zapragnęli zakupić zwykłe płótno na oprawę okazało się to niemożliwe. Hurtownie przemysłu tekstylnego mają zakaz sprzedaży płótna dla instytucji.

I cześć. Książki mające stanowić podstawowy kanon biblioteczny współczesnej rodziny — a nawet przechodzące na pokolenia — będą zapewne miały kartonową okładkę i introligatorskie szwy rozciągające się po pierwszym czytaniu. A chyba za biedni jesteśmy na to, aby wydawać klasykę tandemnie jak „kryminałki” na jedno czytanie. Klasyka zasługuje na inne traktowanie — i wbrew pozorom jest to rozwiązanie właśnie oszczędniejsze.

Mam — ciągle używaną — „Encyklopedię staropolską” Glogera i do dziś jest ona w tym stanie, że jeszcze będzie służyć moim synom. Wydano ją

dwadzieścia lat temu. Natomiast wydane niedawno „Pisma wszystkie” Norwida już się rozlażą w szwach.

Ma rację Okopień, że od pomysłu do wykonania droga była daleka, uciążliwa i u celu otrzymujemy introligatorski i poligraficzny bubel. Odnosi się wrażenie, że tym, którzy produkują książki po prostu na nich nie zależy.

Publikowaliśmy niedawno na ostatniej kolumnie swoiste „perelki” drukarskie. Było z tego powodu moc obrazy, skarg i pogroźek, ale nikt nie powiedział: „macie rację, będziemy wydawać książki solidnie”. Bowiem krytyka obraża, ale nie jest w stanie skłonić winnych do lepszej pracy.

Odnosi się to zresztą nie tylko do przemysłu poligraficznego.

WIDOK

## GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH ANDRZEJ MAKOWIECKI



„Zdolniacha!” — o Makowieckim Camus — „Jak ze mnie zrobić siebie wi.”

Rys. Stanisław Ibis Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

## lewym okiem

Mój sąsiad na niniejszej kolumnie, Widok, pisze w swoich „Zdarzeniach i zwierzeniach” o przykładzie podziwu godnej konsekwencji twórcy. Oto w roku 1933 Michał Choroński, udzielając wywiadu, zwierzył się, że pracuje nad powieścią „Schodami w górę, schodami w dół”, a powieść ta ukazała się w 34 lata później. Czyli pisarz pracował nad nią 34 lata!

Mogło tak być, ale wcale nie musiało. Wielu pisarzy a może i wszyscy poza poetami lirycznymi pracuje jednocześnie nad kilkoma rzeczami. Poeta pisze cały wiersz na ogół za ledwym posiadaniem powieści powstałe latami. Czas płynie i przynosi nowe zdarzenia, katastrofy, inspiracje. Zmieniała się kryteria ważności spraw co innego zaczyna boleć i cieszyć. Zaczęte rozdziały odkłada się do ka-

# PO WIELU LATACH

ta. Przeszły się podobają, ale szkoda zniszczyć — może się jeszcze przydadzą. Czasem otrzępuje się z kurzu stare paczki, wtedy nagle przypominają się zarzucony manuskrypt. Ech, jakie to naiwne — myśli sobie autor, bo akurat ma co innego w głowie. Odkurzona paczka wraca do kątów.

Aż po wielu latach przychodzi „trzeci wiek” i coś na kształt uznania społecznego. Nazwisko już się liczy już teraz cokolwiek by zaproponował — będzie tym nazwiskiem poparte, będzie miało kredyt u publiczności i — co ważniejsze: u krytyków. Krytycy piszą przecież tylko o autorach znanych. Na nieznanym można się pomylić, czyli okazać się nie-

wartym znawcą. Do otwartego kredytu życzyli, głośno zainteresowani krytyki dodaje dalsze ży-

Posiwiwały twórca chciałby teraz wykorzystać hasusę, pisać, pisać, publikować! Czasu za-

czyna być za mało. Teraz przyda się wszystko, co kiedykolwiek próbował robić, teraz należy iść za ciosem. Paczki wracają na biurko, jedna po drugiej. Dawno zaczęte watki kończy się pośpiesznie, aktualizuje przemyślenia, doprawia modną stylistyką. Wszystko to nie wynika z konsekwencji twórczej, tylko ze sprzyjających okoliczności.

Ale rzeczywistość bywa i tak, że autor bardzo się upiera przy swoim twórczym zamysłu, trwa przy nim latami, tylko że — odwrotnie niż w przykładzie poprzednim — okoliczności nie sprzyjają, czyli — inaczej mówiąc — książka nie może się ukazać. Och, przyczyną po temu może być wiele, mogą mieć naturę historyczną lub ekonomiczną, historyczną lub ekonomiczną, obiektywną lub — chyba częściej — subiektywną, przemijającą. Aż wreszcie coś się gdzieś zmieni, otwory, rozumni — książka wskakuje w plan wydawniczy.

Mineły chyba bezpowrotnie czasy, kiedy wydawca zawierzył z obiecującym autorem umowę na wiele lat z góry, na wszystkie nie napisane książki. Nie ma obiecujących autorów, czy też odwrotnie: zbyt wielu ich jest, żeby się martwić o podaż literacką na nadchodzące dziesięciolecie. Nie ma wydawcy, który by z jakimś Juliuszem Verne'em podpisał kontrakt, żądający od niego co najmniej dwóch powieści rocznie. Nikt niczego od pisarza nie żąda, piszących pań i panów jest mrowie, są wzajemnie zastępowani. Trzeba być po prostu starym pisarzem, żeby wydawać nowe książki. Przeważnie są to książki napisane dawno lub bardzo dawno.

Oto i wytłumaczenie zarówno woletolejszej „konsekwencji twórczej”, jak i „świetnej, nie słabnącej formy” starego człowieka.

ĆWIEK

# NA RYBY!!

wizji. Prawda jednak jest, że nawet w niedalekiej przeszłości ryb mieliśmy więcej, bo i rzeki były czystsze i pogoda bardziej ustabilizowana.

Prasa nasza doniosła swego czasu, że w Tamizie pojawiły się znów ryby. Radość z tego powodu dla nas niewielka, bo gdyby tak nagle Wisła popłynęła z Płocka bez naftowych plam, albo na Warcie pod Poznaniem nie byłoby czuć łódzkich ścieków. O tym, żeby Ner był kiedyś czysty — możemy tylko sobie marzyć. A przecież coraz częściej zdajemy sobie sprawę, że musimy chronić i czyszczyć wody i trawy zielone i starać się, aby w lasach drzewa długo rosły i zwierzęta między krzewami róż sobie spokojnie. W przyrodzie — której człowiek jest częścią — musi panować raz ustalona równowaga. Człowiek swoją działalnością nie może równowagi tej naruszać.

Alle ryby nie ma nadal. Nie ma ich w rzekach, w jeziorach, nie ma w sklepach Centrali Rybnej. Chociaż nie wszędzie. Jeden z moich znajomych opowiadał, że można ryby bez żadnych trudności dostać w sklepach Centrali Rybnej na Opolszczyźnie. Byłoby logicznie, gdyby ryby były nad morzem. Ale właśnie jest odwrotnie.

Nieoceniony w wyszukaniu paradoksów naszego życia „Zwłoczek Gospodarczy” donosił był właśnie o filii Spółdzielni Rybackiej „Certa” w Nowym Wąpinie, która podjęła się sprzedawać restauracjom najprzeróżniejsze ryby, świeże i

smaczne, ale — jak pisze „Zwłoczek Gospodarczy” — „knajpy nie chcą kupować”. Dlaczego?

Otóż sprawa jest aż nadto prosta. Kiedyś modny był „chłopski rozum”, który często nazywano też „zdrowym rozsądkiem”. Było to po prostu logiczne myślenie, dążenie do znalezienia najprostszego rozwiązania. Ale z czasem, w miarę rozwoju biurokracji, pojawiła się inna logika — logika biurokratyczna. „Zdrowy rozsądek” nakazywałby, aby knajpa mogła kupować ryby wprost w spółdzielni. „Zdrowy rozsądek” podsuwa myśl, że nie sposób jest istotny, a efekt. Jeśli knajpa serwuje smaczne i atrakcyjne oraz różnorodne potrawy, to „to jest to”. O to właśnie chodzi. Ale byłoby to zbyt proste i wbrew wszelkim zasadom działania biurokratycznego. Dla urzędnika ważny jest bowiem nie efekt, ale ważna jest zgodność z przepisami. Urzędnik opracowuje przepisy i później czuje się w obowiązku sprawdzić, czy funkcjonują one należycie. Dla urzędnika nieważne jest, czy w knajpie można smacznie zjeść, ale ważne, aby plan obrotów był wykonany. Jeśli plan obrotów wykonuje się zgodnie z założeniami, albo nawet przekracza się, to wszystko gra, nawet jeśli ten plan knajpa robi przy pomocy wódki i piwa.

Z tych to powodów knajpy znad morza, które zlokalizowane są w pobliżu Nowego Wąpina nie mogą kupować ryb w „Cercie”, tylko w sklepach

Centrali Rybnej. Ale w sklepach Centrali Rybnej są z zasady konserwy, a nie ma ryb. Ryby są w „Cercie”, ale „Certa” nie może sprzedawać ryb, gdyż nie wolno jej sprzedawać według ce detalicznych. Knajpom nie wolno kalkulować dań według innych cen niż detaliczne. Gość może zadowolić się jajecznicą na margarynie, czy bukietem jarzyn, których też często nie ma, a mógłby zjeść smaczne, świeże ryby, dobrze przyrządzone.

Człowiek logicznie myślący mógłby zadać pytanie, czy Centrala Rybna nie mogłaby formalnie pośredniczyć w takich transakcjach, aby i „Certa” była szczęśliwa i przepisy respektowane i goście w knajpie dostali smaczne ryby? Mogłaby. Nie jest to wprawdzie najprostsze rozwiązanie, ale możliwe. Tylko nie dla Centrali Rybnej. Tu znów działa biurokracja. CR zastanawia się bowiem, czy jej się nie opłaci. Ryb w sklepach CR w nadmiarze nie ma, ale wskaznik widać CR wykonuje. To i po kłopotach.

Niech więc tylko trochę słońce zaświeci, czas ruszyć nad wodę, wziąć dobrą wędkę, garść robaków i zrzucić. Nadszedł na zwiolenie ryby mieć trzeba zawsze, ale nie martwmy się lichym połowem. Nad wodą, z wędką w ręku wypoczywać się znakomicie.

MARCIN RODAK



## TYRADY I NIUANSE

Włodzimierz Scisłowski jest jednym z bardziej znanych pisarzy satyryków swego czasu zresztą publikował wiele także i na łamach „Odgłosów”. Satyrykiem jest z urodzenia i z przekonania — jako dwudziestoparoletni młodzieniec zorganizował w roku 1937 chyba pierwsze poznańskie czasopismo satyryczne „Kaktus”.

Uprawia także twórczość dla dzieci (głośne i świetne „Fraszki na ptaszki”), pisze piosenki i w ogóle wydał już około dwudziestu książek.

„Tyrady i niuanse”, oprócz niewielkiego rozdziału tzw. złotych myśli, zawierają wyłącznie utwory poetyckie — wiersze i fraszki. Jak wszystkie książki satyryczne Scisłowskiego, także i ta zdobędzie sobie z pewnością wdzięcznego czytelnika, bowiem autor pisze dowcipnie, wiersz jego jest zwały i potoczny.

Zawsze zdumiewa mnie ogromna łatwość rymowania Scisłowskiego — nigdy nie ciągnie rymów „za uszy”, są one naturalnym składnikiem wiersza, wynikającym z toku narracji — a przecież wciąż odkrywa nowe zestawienia w twórczości rymotwórczej.

Warto tę książkę polecić — jest dowcipna, choć miejscami złośliwa. Ale, czy może istnieć satyra bez złośliwości?

Włodzimierz Scisłowski — „Tyrady i niuanse”, Wyd. Poznańskie, cena zł 20.—

## STARY PAN

Nevil Shute, zmarły 18 lat temu angielski powieściopisarz, uzyskał dużą popularność zarówno w rodzinnym kraju, jak i poza jego granicami. Książki Shute'a tłumaczone były na wiele języków, kilka z nich sfilmowano, m.in. właśnie „Starego pana”. Szkoda, że nie widzieliśmy tego filmu na naszych ekranach, bo jest to książka z ścią filmową akcją, dramatyczną, wzruszającą i ciepłą — zabarwiona specyficznym angielskim humorem.

Sam Shute w czasie wojny służył w Marynarce wykonując różne tajne zlecenia Admiralicji. Wojna jest też częstym tematem jego twórczości.

Tak też jest w „Starym panu”. Oto 70-letni, dystyngowany Anglik wybiera się na wakacje do Francji. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie data. Jest kwiecień 1940 roku. Inwazja Niemców na Holandię zastaje go w malej wiosce przy granicy szwajcarskiej. Wszyscy sądzą, że hitlerowcy zaatakują Szwajcarię — więc mr Howard spokojnie wraca przez całą Francję do Anglii — wpadając oczywiście w wir wojennego balaganu, bo — jak wiemy — niemiecki atak poszedł jednak w kierunku Paryża, a nie Genewy.

W tę nieprawdopodobną podróż Howard wybiera się z dwójkiem małych dzieci — ubłagany przez rodziców — Anglików, którzy mieszkając w Szwajcarii, chcą przynajmniej dzieciom oszczędzić okupacji. Na dodatek — po drodze — Howard przyjmuje opiekę jeszcze nad paroma innymi dziećmi. Staje się to w sytuacjach dramatycznych: mały Francuz, którego rodziców zabili niemieckie bomby, mały Holender, którego rodzice zginęli podejrzani o szpiegostwo, wreszcie... mała Niemka.

Oczywiście wszystko dobrze się kończy, ale akcja jest dramatyczna. Książkę czyta się naprawdę jednym tchem.

Nevil Shute, „Stary pan”, PIW, cena zł 30.—

## propozycje

Po nocach śni mi się glądki, tafla jeziora. Spławik leży równo na wodzie i nagle... Niestety, we śnie jak w życiu. Już była wielka ryba, już się na haczyku zaczęła, ale nerwy mnie poniosły i za szybko poderwałem wędkę. Ryba została w wodzie, dając tylko do wód temu, że są jeszcze duże, piękne ryby, ale są one bardzo cwane i złapać tak łatwo się nie dadzą. Brodzacy nad wodą ludzie z wędkami w ręku, kiedy siada na brzegu, aby zapalić papierosa, opowiadają sobie legendy o czasach, kiedy to „mój szwagier jednego dnia złapał osiem szczupaków, o takiej wielkości”. I tu wymowny gest ręk.

— E tam, panie — powiada stary rybak nad leżorem mieszkałacy — co tam szczupaki, węgorze tu kiedyś były. O takie. A ile. Jak woda wylała na laki, to można je było rekoma do worka lub wiadra wybierać. A teraz co? Ledwie się tytułki-ka płotkę złowi.

Historycy twierdzą, że jest niewątpliwą prawdziwością minionie czasy uważać za „wiek złoty”. Kiedyś to było dobrze. Moja babcia posunęła się nawet tak daleko, że twierdziła, iż przed wojną... orzechy dalsi-bóg były większe. Syn jednego z moich przyjaciół jest jedynym odmiennego zdania. Przed wojną musiało być gorzej — utrzymuje — bo nie było tele-

# MAGAZYN kulturalny Nr 17

## NA WERNISAŻU „OKIEN” RYSZARDA HUNGERA w Galerii „DESY”...



Foto: W. Parys

## ... I NA WYSTAWIE RYSUNKOWYCH OPOWIEŚCI ADAMA HOFFMANA w Galerii BWA



Foto: R. Lucyszyn

## „OBANDAŻOWANE DRZEWIA” Edwarda ŁAZIKOWSKIEGO



Z pokazu autorskiego w pasażu ZMP podczas Tygodnia Plastyki Łódzkiej, czerwiec 1978 r. Fot. E. ŁAZIKOWSKI

## STANISŁAW KASZYŃSKI: kilka uwag tłumacza na marginesie premiery sztuki Ivo Breszana p.t. „Przedstawienie „Hamleta” we wsi Głucha Dolna” w reżyserii Andrzeja Kondratiuka w Łodzi, czerwiec 1978

— W tym co tu powiem ograniczę się jedynie do oceny przekładu sztuki w tej wersji, w jakiej on został zrealizowany. Tak się złożyło, że nie mogłem uczestniczyć w próbach sztuki i nie zdawałem sobie sprawy, w jakiej postaci tekst ukaże się w realizacji scenicznej. Jest dobrym obyczajem reżyserów przygotowujących się do wystawienia utworów oryginalnych lub tłumaczonych, że w wypadku przewidywanych zmian w tekście, konsultują się z autorem lub z tłumaczem.

Tym razem tak się jednak nie stało. Jestem na tyle zaznajomiony ze sztuką teatru, aby słowo traktować integralnie, a więc w kontekście funkcjonowania tworzyw pozastawnych. Zastrzeżenia moje wynikają więc nie z dbałości o nienaruszalność słowa, lecz z troski o ich walor znaczeniowy w przyjętej przez autora poetyce.

Ku mojemu zdziwieniu poetyka utworu Breszana została w łódzkim przedstawieniu nie tyle zachwiana, co wymieniona na poetykę zupełnie nie korespondującą z zamiarami autorskimi. Krótko mówiąc, akcja sztuki dzieje się w środowisku wiejskim i mój przekład próbował znaleźć polskie ekwiwalenty językowe, które by przybliżyły to środowisko naszemu odbiorcy. Niestety, reżyser wyprowadził zdarzenia sztuki ze środowiska oryginalnego i uścisnął akcję w środowisku jakby subkulturowym, robotniczo-chłopskim, co jest absolutnie nie do przyjęcia. Próbowałem wprowadzić odczytać tendencję reżysera do uogólnienia problematyki, ale nie sądzę, by droga do realizacji tego celu wiodła właśnie przez destrukcję zwartej tkanki słownej.

Konsekwencje takiego widzenia musiały się wyrazić w opracowaniu tekstu. Rozumiem, że tekst można skracać, że pewne zwroty i słowa mogą być wymienione na inne, ale pod warunkiem, że ich odpowiedniki zgodne są z poetyką utworu. Tak było np. w przedstawieniu warszawskim, w którym dokonano minimalnych zmian z całkowitą moją aprobatą. Nie można natomiast do sztuki dopisywać nie tylko pojedynczych słów czy zdań, ale całych kwestii, jak to się niestety stało w łódzkiej inscenizacji.

Szczególnie dotkliwie odczułem to w obrazie drugim, w którym reżyser pomyślał najrozmaitsze kwestie niezgodne nie tylko z literą, ale i z duchem utworu. Np. w wypowiedzi Jocy-Hamleta słuchamy jakichś dywagacji o teorii miłości, erotyzmie i seksualizmie nie istniejących ani w oryginalnej, ani w przekładzie. Na moją prośbę aktor grający tę rolę usunął tak zgrzytliwe powiedzenie jak „nie wyrabiam”, ale zostały inne, choćby „co jest grane”, które przynależą raczej do gwary chłopo-robotniczej. Takich przykładów mógłbym wymienić znacznie więcej. Nawiasem mówiąc jestem zaskoczony, że w łódzkich recenzjach nie zauważono wcale zniekształceń tekstu; to o czymś chyba świadczy...

Checiałbym w tym miejscu wspomnieć, że mój przekład sztuki Breszana został wysoko oceniony, o czym świadczy m.in. druk w miesięczniku „Dialog” (nr 1/1975) i wysoka ocena krytyki warszawskiego przedstawienia (np. Wojciecha Natansona i Michała Misiornego).

Muszę podkreślić, że nie po raz pierwszy reżyserzy przypisują sobie prawo do całkowitej kreacji przedstawienia ingerując tak niefrasobliwie i nieodpowiedzialnie w tekst autora. Przeciwno takim posunięciom autorzy i tłumacze muszą stanowczo protestować. Jest rzeczą wielce niepokojącą, że w kraju, gdzie sztuka translatorska ma tak świetne tradycje, nie ceni się trudu i kunsztu tłumacza, który jest przecież reprezentantem i interpretatorem myśli autora, pośrednikiem między nim a odbiorcami, rzecznikiem autorskich interesów. Sądzę ponadto, że od wartości literackiej i estetycznej tekstu zależy nie tylko poziom spektaklu, ale także poziom i kultura odbioru. Wszelkie wykrócenia nie dają w efekcie nic dobrego. Co więcej, odniosłem wrażenie, iż wprowadzone zmiany miały bawić część publiczności o nie wyrobionych gustach. Obserwując reakcje widowni na dwóch przedstawieniach potwierdzam, że tak się niestety stało.

Na koniec chcę dodać, że to co tu powiedziałem nie dotyczy oceny spektaklu, gdyż jako do pewnego stopnia współautor nie mogę sobie pozwolić na uwagi dotyczące realizacji.

OD RED. Poprosiliśmy prof. Stanisława Kaszyńskiego o wypowiedź, pragnąc skonfrontować nasze wrażenie z poglądem samego autora przekładu. Konfrontacja ta okazała się pożyteczna, bo po pierwsze, nasza wcześniejsza krytyczna ocena sposobu traktowania tekstu sztuki przez reżysera potwierdziła się, po drugie zaś przedstawione wyżej refleksje skłaniają do szerszych rozważań na temat zwyczajów praktykowanych w naszym teatrze w stosunku do ludzi pióra: pisarzy, tłumaczy i ich dzieł. Nie tylko zresztą — dodajmy — w teatrze (podobne zwyczaje panują w filmie).

Wierzymy, że wypowiedź S. Kaszyńskiego zachęci i drugą, wywołaną tu niejako stroną, do próby komentarza. Poza tym wydaje się nam, że kwestia zadośćuczynienia słusznym zastrzeżeniom autora przekładu, jak i dania mu — współmiernej do jego wysiłków — satysfakcji jest nadal otwarta.

Te uwagi kierujemy pod adresem realizatorów łódzkiej inscenizacji „Przedstawienia „Hamleta” we wsi Głucha Dolna” i dyrekcji Teatru Powszechnego.

Notował: TOMASZ SOLDENHOFF

## DO MAGAZYNIERA

### „Regał pełen bubli”

W odpowiedzi na skrytyczną notatkę zamieszczoną na łamach „Ogłoszeń” w numerze 20 uprzejmie wyjaśniamy że ilość braków zawinionych przez Wrocławskie Zakłady Graficzne jest znikoma i systematycznie maleje. Dla porównania: w roku 1977 stanowiły one 0,14 proc. wszystkich wyprodukowanych kszadek, natomiast w I kwartale roku bieżącego 0,1 proc. Należy również podkreślić, że poważna ilość braków powstaje wskutek wad surowców które otrzymujemy do produkcji książek. Jakość papierów kartonów, tektury farb i klejów jest wysoce niezadowolająca. Przy druku poz. „Katoizm” przedniemu filozofii człowieka występowały wady papieru w postaci zrywów krótkich arkuszy i kawalków. Efektem wymienionej wady surowców był opisany w notatce egzemplarz. Nie oznacza to, że przedsiębiorstwo nie czyni starań w kierunku poprawy jakości swoich wyrobów. Celowi temu służy nowo opracowany „program” poprawy jakości produkcji wprowadzony zarządzeniem dyrektora w miesiącu stycz-

niu. Realizacja przedsięwzięcia organizacyjno-technicznych zawartych w tym programie powinna w pewnym stopniu poprawić jakość produktu finalnego pomimo występujących nagminnie wad materiałów. Dowodem wysokiego zaangażowania w sprawę jakości dyrektur przedsiębiorstwa, aktywne społeczno-polityczne administracji i całej załogi było otwarte zebranie POP PZPR zorganizowane w dniu 30.VI.78 r. na którym głównym tematem była jakość produkcji Wrocł. Zakł. Graficznych. W toku dyskusji padło wiele konstruktywnych wniosków. Między innymi powołano społeczną komisję ds. jakości oraz stanowiska pracy bez braków, co w efekcie powinno prowadzić do polepszenia wyników osiąganych na tym odcinku.

Faktem jest, że wymieniony egzemplarz nie posiada wartości użytkowej bez względu na stopień winy Wrocławskich Zakładów Graficznych za co serdecznie przepraszamy.

z-ca dyr. ds. produkcji mgr Andrzej Męcie

## teatr powszechny



### HORACY SAFRIN

#### Incydent za kulisami

Ujrzawszy nieznanego gościa w garderobie, inspektor sceny huknął nań: „Co pan tu robi?” „Nic nie robię — rzekł kłami szukając omackiem. — Jestem wszak kierownikiem tylko literackim...”

### Salonowiec w „Szpilekach”

W 27 numerze „Szpilek” z dnia 2 lipca 1978 roku „ZYCIE UMYSŁOWE” domiślo, co odnotowujemy z kronikarskiego obowiązku:

„P. Marta Fik (tzw. sumienie teatru polskiego) odciała się od sojuszu z Salonowcem z łódzkich „Ogłoszeń”. Chodziło o świętość Dejmka. P. Fik uważa go co najwyżej za błogosławionego... Nie daj Boże, jeśli między takim niewiastami...”

Z notki tej wynika, jakoby „odcięcie się” pani Fik od „sojuszu z Salonowcem” nastąpiło z powodu różnic w stopniowaniu świętości dyr. Dejmka, a Salonowiec miał być tej świętości gorliwym obrońcą. Było wszakże odwrotnie. MAGAZYNIER

### KINO LETNIE HEMINGWAY Z REKLAMY

Jednym z nowszych nabytków inwentarza motyłów kultury masowej jest krytyka niektórych elementów teki, krytyka, a raczej jej próba, z założenia nieskuteczna, gdyż to, co jest jej obiektem, stanowi dla publiczności zbyt wielką atrakcję. Film Lemonta Johnsona „Dziewczyna z reklamą” opiera się właśnie na elementach, które sam „krytykuje”, przeciw którym „protestuje”.

Mamy tedy film protestujący przeciw zalewowi seksu i brutalności. Taka przynajmniej etykietka filmowi przyklejono.

W procesie widza zabrano o przedni dobór atrakcji. W przeciągu półtoręgodzin oglądamy dwa gwałty, w tym jeden na nieletniej, drugi zaś na modelce (gra ją Margaux Hemingway). Oglądamy ponadto jedno morderstwo, Mord, pozostaje mordercem, choćby morderstwa piękna, czy lepiej powiedzić, sexy kobieta, kierowana świętym oburzeniem na gwałciela. Nienowoty to motyw kobiety samotnie walczącej o swą cześć (już jednak tym razem nie dziewczycą) z tymi mężczyznami — burtalnymi, przed którymi bezbronna kobieta bronić się może tylko za pomocą strzelby. Gwałt zostaje krwawo ukarany, masowemu poczuciu sprawiedliwości staje się zadobry, tym bardziej że sąd uświetnia morderczyńnię, zaś film uzyskuje wydziewek „refleksyjny” i „protestujący” zarazem...

Zmieszajmy zatem atrakcyjne damskie i męskie ciała z brutalnością i odrobina perwersji, dodajmy nutkę sentymentalizmu i ugotujmy to na ogniu świętego oburzenia na zalew seksu i gwałtu, ukształtujmy to wszystko w zgrabną formę dramaturgii, opowiedzmy językiem doprowadzonym do perfekcji przez pokolenie hollywoodzkich reżyserów, a otrzymamy w sumie dobrego, choć typowy produkt masowej kultury filmowej. Z „głębszą” refleksją na dodatek, która dla maluczkich ma smak intelektualizmu i kontestacji, lekkostrawnej, a w dodatku firmowanej budzącym szacunek nazwiskiem Hemingway.

Mieczysław B. Vejt

Obradowało w Łodzi Zgromadzenie Ogólne i Rada Oddziału PAN. Referaty na temat związków nauki z kulturą wygłosił prof. A. Nadolski i doc. S. Kuszewski. Były one rezultatem pierwszych prac naukowych w skali kraju komisji „NAUKA-KULTURA”, której celem jest poszukiwanie powiązań między obydwiema dziedzinami i działanie na rzecz integracji i współpracy między placówkami naukowymi a szkolnictwem artystycznym w Łodzi.

Kulturoznawstwo nadal cieszy się największą popularnością wśród kandydatów na Uniwersytet Łódzki. Na 25 miejsc przypadło w tym roku aż 172 chętnych.

W malowniczej scenie wykładu w szkole Teatru All Alberta i przy akompaniamentach... deszczu koncertowali łódzcy filharmonicy na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Amalfi.

Rozpoczął samodzielną działalność łódzki oddział Pracowni Konserwacji Zabytków. Z tej okazji otwarto i lipcową wystawę pt. „Osiągnięcia PKZ na terenie województwa łódzkiego i konińskiego w latach 1951-1977” (w Muzeum Historii Miasta). O historii powstania i zamierzeniach łódzkiej pracowni napiszemy szerzej w jednym z następnych numerów „MAGAZYN KULTURALNY”.

Na lata 1979-1981 planuje się rewaloryzację ulicy Mniuszki. Odnowione będą elewacje secesyjnych budynków. Pod numerem 4 powstanie zaplecze gastronomiczno-rozrywkowe z „variete” włącznie. W domu pod nr 5 Wytwórni Filmów Fabularnych utworzy kino studyjne, salon wystawowy i pracownię malarską K. Mackiewicz (wszystko to pomieszczenia Kultury Filmowej). Posesie nr 11 zagospodaruje Ludowy Instytut Muzyczny O. bok burtur LHM znajduje się miejsce: salon wystawowy, pracownię artystyczne i salony sortadzy.



Na XII Ogólnopolskim Festiwalu Kanał i Saloszków Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą jedno z dwóch pierwszych miejsc w grupie zespołów spiewających przyznał „OPCZNIANCE” z Opoczna w województwie piotrkowskim. Z „Opoczniankami” konkurowały 10 innych zespołów ze wszystkich regionów kraju.

Z powodzeniem startowała ekipa Klubu Tańca Towarzystwa „LODEX” z Łodzi na I Międzynarodowym Polskim Zespole Tancerzy. KTT „Lodex” zakwalifikował się do półfinału i wziął udział w koncercie galowym. W imprezie uczestniczyło 31 zespołów, 600 tancerek i tancerzy.

W ramach imprez towarzyszących VI Międzynarodowemu Biennale Grafiki w Krakowie wystawiał swoje prace laureat V Biennale łódzki artysta-plastyk Antoni Starczewski.

Już we wrześniu bedziemy mogli oglądać w łódzkiej kinach głona „Piłwe o Midway”. Kolejka Łódź do koni i aparatury zaopiewniałacie specjalne efekty wypadu wprowadzające do niego na listonosz ale być może wcześniej zostanie zwolnione urządzenie systemu Sensusround (które nie zdążyło egzaminu przy produkcji filmu „Śmierć w Lu nasarku”). Na szczęście nie grozi nam jednak inne „specjalne efekty” znane z projekcji „Trzęsienia ziemi”, a ściślej mówiąc przed projekcją, kiedy to „wciśnięto” miłośnikom „kina typowa estradowa muzyka „chałtura”...

Łódzcy artyści: pisarze, plastycy i muzycy narzekają ostatnio na trudność związane z korzystaniem z usług lekarskich Spółdzielni „Zdrowie” której z kłopot kłopotów przysparza ponadto zasady finansowania. „Choroby nie czeka jednak na zakończenie roku finansowego” zauważa „Reflektorek”. „Dziś jesteśmy tego samego dnia. A co na to ZAIRS, który w tych usługach nie dąży „Zdrowiem” a innymi twórcami pośredniczy?

(Oprac. T.S.)